

Kupuj „Przekrój”  
zawsze w poniedziałek  
za **3,99 zł**

Zalegalizować  
marihuanę

Rodzic w domu  
już można.  
Na własne ryzyko

Jaruzelski gra  
w teatrze

10

14

28

**PRZEKROJ**

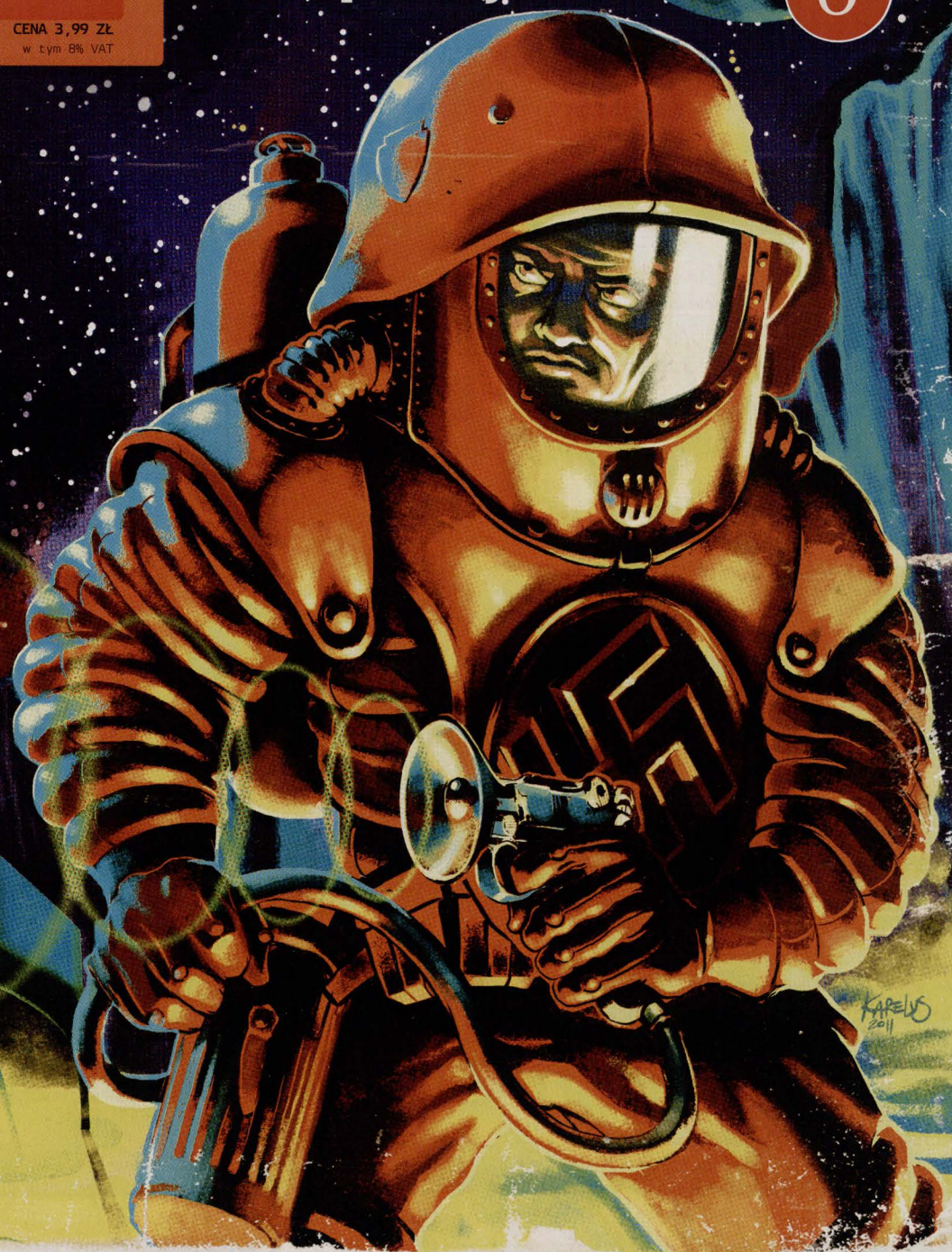
# NAZIŚCI W SŁUŻBIE AMERYKI

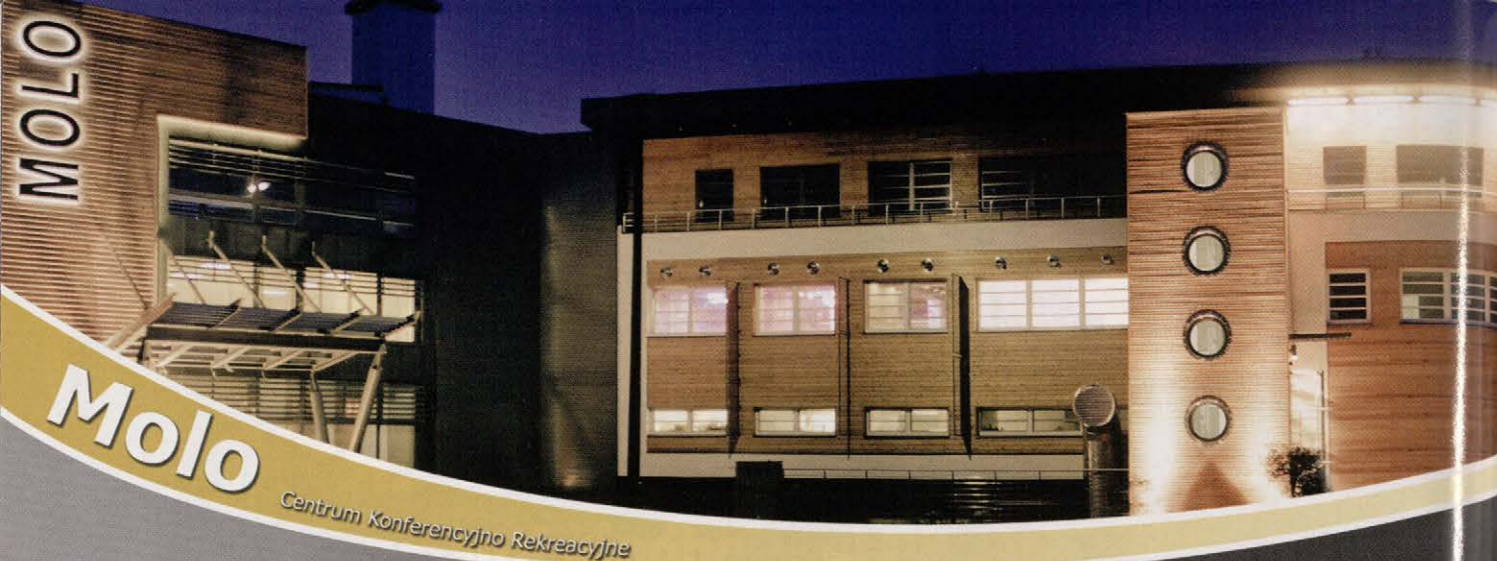
## 50 lat podboju Kosmosu

6

15 (3433) / 11 KWIETNIA 2011 / CENA 3,99 Zł  
w tym 8% VAT

WWW.PRZEKROJ.PL





MOLO

Molo

Centrum Konferencyjno Rekreacyjne



Nad brzegiem Jeziora Sulejowskiego  
w Parku Krajobrazowym  
Wyjątkowy klimat, domowa atmosfera,  
wysmienita kuchnia, klimatyczne wnętrza

Miejsce na Konferencję, Adrenalinę, Zabawę, Wypoczynek

Centrum Polski z dogodnym dojazdem

Centrum Konferencyjno Rekreacyjne, Woj. łódzkie, 97- 213 Smardzewice, ul. Kłobnowa  
www.centrummolo.pl, tel. 44 726 40 00, e-mail: marketing@centrummolo.pl

Hotel Magellan

\*\*\*

Zaledwie 110 km od Stolicy i 60 km od Łodzi, pośród lasów nad brzegami Zalewu Sulejowskiego w miejscowości Bronisławów znajduje się mekka biznesu, a jednocześnie ostoja spokoju Hotel MAGELLAN\*\*\*

To niezwykle osobliwe i piękne miejsce daje naszym Gościom wiele możliwości odpoczynku na łonie natury, zarówno aktywnego spędzenia wolnego czasu jak również poddania się błogiemu relaksowi w największym w regionie Instytucie SPA & Wellness.

Hotel MAGELLAN\*\*\* dysponuje 121 przestronnymi i kompleksowo wyposażonymi pokojami, mogącymi przyjąć w tym samym czasie 242 Gości.

Trzy klimatyzowane restauracje serwują menu kuchni polskiej i światowej. 8 klimatyzowanych, profesjonalnie wyposażonych sal konferencyjnych o łącznej powierzchni 1480 m<sup>2</sup> może pomieścić 1000 osób



Hotel MAGELLAN\*\*\*

Bronisławów, ul. Żeglarska 35/31, 97-320 Wolbórz

tel.: 044 615 43 50

email: recepcja@hotelmagellan.pl

www.hotelmagellan.pl



## PRZEKROJ

Zalozył w roku 1945  
w Krakowie redaktor  
Marian Elle

### „Przekrój” w sieci:

Było już ciemno, trochę przed 10 wieczorem. Niewielka grupa krasnoludków przemykała dębem między drzewami. Stopy miały grubo owinięte szmatami, czerwone kubraczki wysmarowane sadzą, a w naciągniętych po samą brodę czapeczkach nierówno wycięte otwory na oczy. W niemal zupełnej ciszy podkradły się pod wysoką ścianę. Najwyższy z konusów rozejrzał się i szybko wyciągnął zza pazuchy kolorową puszkę. Jego kumple zrobili to samo i po chwili ciszę wieczoru przerwał głośnie syk tryskającej farby. Wkrótce krasnale, chociaż wrednie rozplynęły się w mroku lasu. Piekło zaczęło się następnego dnia. Największy Krasnal, jak zwykle, wiedział wszystko. Wezwał przed swoje srogie oblicze całą grupę i równomiernie zmieszał z błotem. Było coś o gówniarzerii, o nieodpowiedzialności, chamstwie i wybrykach. Stadko jak niepyszne, teraz już w świetle dnia, wróciło pod ścianę i grzecznie, ładnymi flamastrami wypisało przeprosiny. Czerwień czapek i kubraków pięknie ziewała się z purpurą twarzy. Nic dziwnego – z całej okolicy zeszedli się gapie i teraz buczeli, gwizdali i rechotali. Krasnale skończyły pracę i smutno podreptały pod swoją ścianę. Acha. Zapraszamy wszystkich na facebookowy profil „Przekroju”. Wszystkich.

facebook.com/PrzekrojPl



A na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz na iPadzie codziennie coś nowego.



[twitter.com/przekroj\\_pl](https://twitter.com/przekroj_pl) – tu tupot krasnoludzkich stópek nie dotarł



[przekroj.blip.pl](http://przekroj.blip.pl) bezkrasnoludkowo

Jak ktoś wypatrzy krasnoludka pod ścianą, niech pisze: [redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)

# W TYM TYGODNIU

## TOŻSAMOŚCIOWO ROZEDRGANI NIE PISZEMY...

...że ciągle ten albo tamten naród, a przecież wiadomo z prasy i telewizji, że najlepiej, jakby żadnego narodu nie było. No chyba że kilka w jednym: na przykład mławsko-południowotysko-przedolziański. Bo na takie cudo to i poseł Węgrzyn by nie omieszkał popatrzeć.

...że – jednym słowem – balagan. Spodziewamy się jednak, że prezes Hamilkar Barkas Kaczyński podejmie kroki, by z naszej

współczesnej magmy wyodrębnić PiS-owski naród naprawdę wolnych Polaków – wróć! – skoro ma być wielość, niech to będą bitni Polako-Kartagińczycy zmagający się z rusko-rzymsko-niemieckimi opresantami. Jedyny kłopot to te ofiary z dzieci, ale nie wątpimy, że poseł Hannibal Brudziński z posłem Malchusem Błaszczakiem i posłanką Salambo Kempą gracko to redaktor Olejnik (naród grymašno-obuwniczcy) wytłumaczą.

...że już chcieliśmy inne narodotwórcze ruchy przewidywać (bo wszystko lepsze niż pisanie o tym, co naprawdę się dzieje – nawet dzieje narodu mistrzowsko-grillowo-pośniedzianowego herbu Piweczko i karkówka w koronie?), gdy północnokorytarzowy naród sekretarsko-redakcyjny najechał nas i kazał kończyć te głupoty i zabrać się do prawdziwej pracy. Co uczyniliśmy.

...i że na koniec zauważmy tylko, iż narody prokuratorsko-hazardowe sprawiły się, jak należy: afery żadnej nie było, a jeśli coś było, to wyłącznie kwiecistość języka (no patrzcie państwo, toż ten Chlebowski obraca językiem jak sam Leopold Buczkowski!), więc radujmy się. I widzisz, Rysiu, przynajmniej tyle na sto procent załatwili! Rosolu im dać!

MARCIN SENDECKI

## MAREK RACZKOWSKI



## LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Co to jest: kierunek drogi?  
To drugi kierunek studiów według nowej ustawy.

## TEMAT Z OKŁADKI

- 6 **Gdyby nie pupil Adolfa Hitlera Wernher von Braun**, Amerykanie nie wyładowaliby na Księżycu. O mrocznych początkach amerykańskiego programu kosmicznego Olaf Szewczyk. O tym, dlaczego USA skończyły na jednym – spektakularnym, ale jednym – kroku w drodze do gwiazd, Piotr Stanisławski

## PRZED WSZYSTKIM

- 10 Wbrew sprawdzonym rozwiązaniom z Europy i głosom naukowców **nasi posłowie uchwalili groteskowe przepisy antynarkotykowe**. Efekt? Wciąż za jednego skręta z marihuaną w kieszeni Polak może trafić za kratki. Tekst Agaty Jankowskiej i Anny Szulc
- 14 **Poród domowy jest już legalny**. Przyszłe matki i przyszli ojcowie się cieszą, lekarze pomstują. Dominika Buczak sprawdza, kto ma rację
- 16 **Arabowie z różnych krajów** są dziś ze sobą bliżej, niż byli za Mahometa. Sprawity to seksowne piosenkarki. Czy w końcu ziści się sen o arabskiej jedności? Zastanawia się Łukasz Wójcik

## ROZMOWA „PRZEKROJU”

- 18 **Grzegorz Miecugow** pyta profesora Michała Rózyckę, skąd jesteśmy

## CYWILIZACJA

- 20 **Coś się znowu pokręciło. Naukowcom**. Ich starannie ułożona wizja świata ożywionego okazała się niewiele warta. Urszula Dąbrowska o nowym drzewie życia

## TURYSTYKA

- 24 **Za dwiema cieśninami i siedmioma wzgórzami leży bajkowa kraina**. Wymarzona dla tych, którzy w górach

## NA POCZĄTEK



**DONAT SZYLLER**  
ZASTĘPCA  
REDAKTORA  
NACZELNEGO

## Pusty żołądek prokuratora

**P**ierwszego kwietnia posłowie opowiedzieli nam znakomity dowcip. Brzmi on – uwaga! – „prokurator odstępujący od czynności”. Przechylnie, prawda?

No dobrze, to może wytłumaczę. Sejm po prawie 11 latach pochylił się nad losem tysięcy ludzi zamykanych w więzieniach za jednego skręta marihuany na podstawie najostrejszego prawa w UE – prawa polskiego. Dziś za „niewielkie ilości” siedzi za kratami 650 osób. To więcej niż łączna liczba naszych dobrodziejów z Sejmu i Senatu.

W prima aprilis posłowie przyjęły ustawę depenalizacyjną, czyli pozwolili prokuratorowi w wyjątkowych, jasno niesprecyzowanych przypadkach zrezygnować z karania tych ludzi. Podpowiem wysokiemu

żałują, że nie są nad morzem. O Norwegii Marcelina Szumer

27 **Piramidy?** Nic niewarte. Rafy? Nuda, panie. W Polsce też można nurkować. Marcelina Szumer namawia do wakacji w kraju

## KULTURA

- 28 **Polski teatr** mierzy się z mitem „Generała”. O mocnej rzeczy o Wojciechu Jaruzelskim Łukasz Drewniak
- 32 Jacek Tomczuk rozmawia z **Chrisem Niedenthalem**, najsłynniejszym kronikarzem Polski lat 80.

## OTWÓRZ OCZY

- 36 **Raj na ziemi już tu był**. Teraz mieszkańcy wysepki Lampedusa na Morzu Śródziemnym za oknami swoich domów mają piekło. Imigranckie. Tekst Joanny Woźniczko-Czczott

## RECENZJE

- 40 **Muzyka:** Winczewski ogłasza męski debiut roku
- 41 **Książki:** Mizuro niezmiennie wielbi Bolaño
- 42 **Film:** Sadowska miłośni nie wszystko wybaczca
- 43 **Teatr:** Wakar oszołomiony „Słowem” Grzegorzka

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 44, 50, **Rozmaitości**
- 46, 47 z krzyżówką, Kronikami popkultury Orbitowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 48 **Dziennik** Jerzego Pilcha
- 49 **Stopklatka**
- 3, 50 **Raczkowski**



**ADRES REDAKCJI:**  
ul. Nowogrodzka 47 A,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 33,  
faks 22 525 99 88, www.przekroj.pl  
e-mail: redakcja@przekroj.pl  
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

**REDAKTOR NACZELNY:**  
Artur Rumianek  
**ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:**  
Donat Szyller

**DYREKTOR ARTYSTYCZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
**SEKRETARZ REDAKCJI:**  
Piotr Witek

**SEKRETARIAT:**  
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33

**PRZED WSZYSTKIM:** wydarzenia@przekroj.pl  
Mariusz Nowik (szef),  
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),  
Agnieszka Fiedorowicz, Maciej Jarkowicz,  
Rafał Kostrzyński, Anna Szulc,  
Małgorzata Święchowicz,  
Joanna Woźniczko-Czczott;  
stałe współpracują: Agata Jankowska,  
Marcelina Szumer

**CYWILIZACJA OD ŚRODKA:** nauka@przekroj.pl,  
Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid-Chelak,  
Olaf Szewczyk; stałe współpracują:  
Irena Cieślińska, Urszula Dąbrowska,  
Piotr Kossobudzki

**KONIEC Z KULTURĄ:** kultura@przekroj.pl,  
Jacek Wakar (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa),  
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,  
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;  
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,  
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,  
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska,  
Ola Salwa, Jacek Sieradzki,  
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

**ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:**  
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;  
stałe współpracują: Kaliber 45

**PRACOWNIA GRAFICZNA:**  
Łukasz Lełonekiewicz, Bartek Frączyk,  
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

**FOTODYSCJA:** foto@przekroj.pl,  
Marcin Kapica (szef), Marek Szczepański;  
stałe współpracują: Anna Bajorek

**KOREKTA:**  
Dorota Dul, Tatiana Hardej;  
stałe współpracują: Kinga Gruca

**PROJEKT GRAFICZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
**ARCHIWUM:** Dominika Bok

**OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Andrzej Tchórzewski

**STRONA INTERNETOWA I IPAD:**  
Marcin Cichoński, Marcin Kijowski (szefowie)

**REDAKTORZY:** Monika Hrycko-Skowron,  
Tomasz Róg, Maria Włodkowska  
**GRAFICY:** Katarzyna Bazela, Jakub Bieda,  
Martyna Marzec

**MULTIMEDIA:** Anna Bajorek, Mikołaj Tecki

**WYDAWNICTWO Przekrój Sp. z o.o.,**  
ul. Nowogrodzka 47 A,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

**WYDAWCA:**  
Grzegorz Hajdarowicz  
**PREZES WYDAWNICTWA:**  
Jan Godłowski

**DYREKTOR WYDAWNICTWA:**  
Sławomir Mokrzycki  
**DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:**  
Artur Rumianek

**DYREKTOR PROGRAMOWA:**  
Katarzyna Janowska  
**PROMOCJA I MARKETING:**  
promocja@przekroj.pl,  
Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski

**BIURO REKLAMY:**  
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Makowski,  
p.o. dyrektora biura reklamy, 695 414 905  
Małgorzata Skorupa 601 432 821,  
Beata Drogowska 785 855 883, Agnieszka  
Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń  
501 227 979, Eliza Zyromska 785 855 886

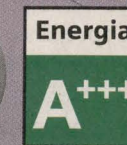
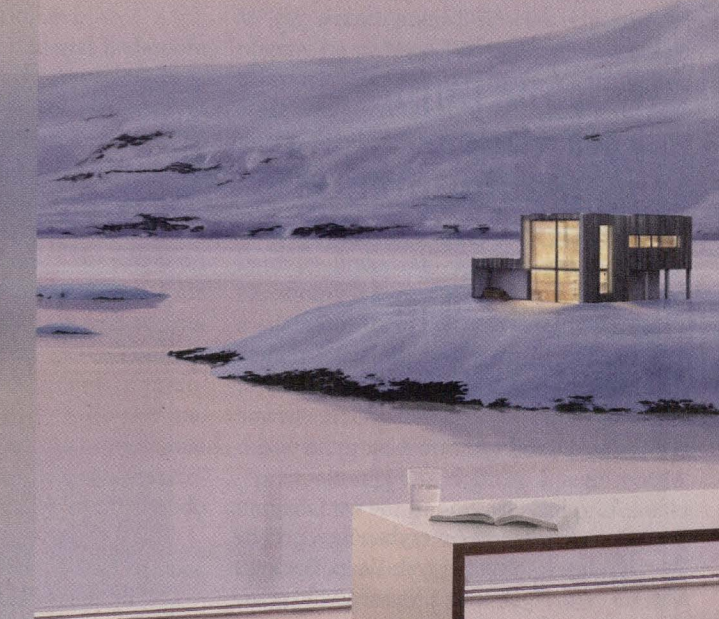
**DYREKTOR DYSTRYBUCJI:**  
Elżbieta Maciążek  
**DRUK:** RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian  
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach



## Energooszczędność jest naprawdę cool.

Nowa generacja urządzeń w klasie A+++.



Siemens wspiera projekt  
WWF „Klimat i Energia”

Premiera roku! Siemens wprowadza na rynek super-energooszczędne chłodziarko-zamrażarki z klasą energetyczną A+++! Dzięki zastosowaniu unikatowych rozwiązań, nowe modele ustanawiają nowe standardy na rynku. Są nie tylko wyjątkowo oszczędne, ale oferują również szereg innowacyjnych systemów i funkcji, usprawniających komfort eksploatacji. Poza przedłużeniem świeżości i gwarancją utrzymania żywności w świetnej formie, zapewniają także inne istotne korzyści – czysty, elegancki styl i jakość najwyższej klasy. Więcej informacji na [www.siemens-home.pl](http://www.siemens-home.pl)

The future moving in.

SIEMENS



Rysunek na okładce: Tomasz Karelus, Studioliustracji.com

## PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, Alifor Bank SA Bo 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 166,40 zł, półrocznej – 83,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

## DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w App Store. Informacje: [wsparcie@przekroj.pl](mailto:wsparcie@przekroj.pl)



# Piękna kariera Sturmbannführera

Gdyby nie pupil Adolfa Hitlera Sturmbannführer SS Wernher von Braun, Amerykanie nie wylądowaliby na Księżycu

OLAF SZEWCZYK

**P**odbijał serca Amerykanów w programach telewizyjnych Walta Disneya, w których wraz z Myszką Miki roztaczał wizje podboju Kosmosu. Jego imieniem nazwano krater na Księżycu i aleję w Nowym Jorku, a prezydent USA Gerald Ford nagrodził go za wybitne zasługi Narodowym Medalem Nauki – piękny zestaw z Krzyżem Rycerskim od samego Hitlera. Narodowa Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej oficjalnie uznała Wernhera von Brauna za najwybitniejszego specjalistę od techniki raketowej w historii i przypięła mu do piersi Distinguished Service Medal – swoje najwyższe odznaczenie. Po imponującej karierze w NASA, gdzie konstruował rakiety Saturn – lokomotywy programu Apollo, który zaprowadził ludzkość na Księżyc – ów nietuzinkowy człowiek trafił w 1972 roku na ciepłą posadę w firmie lotniczej Fairchild Aircraft. Chyba jedyną jego istotną porażką w życiu była przegrana walka z rakietą. Zmarł w 1977 roku jako powszechnie szanowany obywatel Ameryki – kraju, z którym, jak przekonywał, postanowił dzielić się wiedzą i umiejętnościami, bo jego mieszkańcy „żyli zgodnie z zaleceniami Biblii”.

Ten bogobojny naukowiec często dzielił się publicznie swymi przemyśleniami o związkach nauki, religii i moralności. Wyrażał zaniepokojenie, dokąd mogłaby zaprowadzić



Wernher von Braun rozumiał znaczenie mediów. Był ich gwiazdą, zanim odniósł realny sukces w USA

nas myśl techniczna *sauté*, gdybyśmy zapomnieli o etycznych drogowskazach. Słuchano tych mądrych słów z uwagą i aprobatą. Był to kolejny z niezliczonych triumfów von Brauna. Ale nie należy zapominać o pierwszym odnotowanym w annałach historii spektakularnym sukcesie – wówczas jeszcze niemieckiego – inżyniera. Bez niego bohater tego tekstu nigdy nie zaszedłby tak daleko.

## Chcę całkowitej zagłady!

Był 8 września 1944 roku, kwadrans przed siódmą wieczorem. Do przedmieść Londynu zbliżała się pierwsza ze skonstruowanych przez von Brauna rakiet A-4, znanych wysokiemu dowództwu hitlerowskiemu jako Vergeltungswaffe-2. Ten pierwszy w historii kierowany balistyczny pocisk raketowy Brytyjczycy będą potem nazywać V-2. Rakietą, dołanując do dzielnicy Chiswick, poruszała się z szybkością trzykrotnie przekraczającą prędkość dźwięku, mieszkańcy nie mogli jej zatem usłyszeć. Po uderzeniu w ulicę Staveley Road wybuchło 738 kilogramów materiałów burzących. Eksplozja zdemolowała kilka okolicznych domów. Gdy sześciolatek John Clark wszedł do sypialni swej trzyletniej siostry Rosemary Ann, w pierwszej chwili uspokoiło go, że w pomieszczeniu jakimś cudem nie widać było śladów zniszczeń. Siostrzyczka jednak nie żyła. Płuca dziecka zapadły się, gdy dosięgła je fala uderzeniowa.

Dwie minuty później na Londyn spadła druga V-2, tym razem zabijając sześć osób. Wernher von Braun mógł otworzyć szam-

pana i odetchnąć z ulgą – nie zawiódł Führera. To był decydujący moment kariery błyskotliwego naukowca. Porażka niechybnie by ją przekreśliła, bo Adolf Hitler nie wybaczał tym, którzy nie dotrzymywali obietnic. A przecież to właśnie von Braun przekonał wodza III Rzeszy do raketowej Wunderwaffe. Dokonał tego, gwarantując, że V-2 zrobią to, co nie udało się bombowcom Luftwaffe – rzucać londyńczyków na kolana.

Początkowo Hitler nie nadawał badaniom nad V-2 najwyższego priorytetu. Jako armijny artylerzysta myślał o rakiecie jak o dużym pocisku. Nie rozumiał tej technologii i jej możliwości, nie rozpałała zatem ona jego wyobraźni. Co gorsza – dla von Brauna – Hitlerowi śniło się, że V-2 zawiódła, a niestety traktował swoje sny jako prorocze. Wernher von Braun bez osobistego wsparcia Führera nie mógł liczyć ani na dostawy trudnych do zdobycia materiałów, jak blacha, z której robiono obudowy pocisków, ani na niezbędne fundusze. Zastojowi, a może nawet paraliżowi prac nad V-2 mogło zapobiec jedynie przekonanie wodza III Rzeszy do koncepcji broni raketowej. Wernher von Braun zdołał uzyskać zgodę na zaprezentowanie mu możliwości V-2.

Pokaz odbył się w kwaterze Wilczy Szaniec pod Kętrzynem w lipcu 1943 roku. Naukowiec przygotował między innymi modele rakiety w przekrojach, a przede wszystkim film poglądowy. Wernher von Braun doskonale zdawał sobie sprawę z potęgi ekranu i słabości Hitlera do efektownych przedstawień. Film nakręcono z kilku kamer przy udziale profe-

sjonalistów. Wykorzystano kolorowe negatywy najnowszej technologii. Lot V-2, pokazany z różnych perspektyw i zmontowany tak, by można było łatwo wyobrazić sobie grad rakiet spadających na wroga, zrobił na Hitlerze olbrzymie wrażenie. Zerwał się z fotela, żądając natychmiastowego uzbrojenia każdej V-2 w 10-tonową głowicę bojową (było to niemożliwe – mogły przenosić najwyżej tonę). W jego oczach pojawił się – jak relacjonował obecny na pokazie Walter Dornberger, szef od pocisków balistycznych Wehrmachtu – „dziwny błysk fanatyzmu”. Von Braun osiągnął swój cel. „Chcę tylko zagłady – darł się Hitler – całkowitej zagłady!”.

Odtąd prace nad raketą mogły ruszyć pełną parą. Był czwarty rok wojny, Rzeszy coraz bardziej brakowało pieniędzy i surowców, ale zdolny inżynier nie musiał się już liczyć z ograniczeniami. Hitler był pod takim wrażeniem wizji totalnych wiktorii roztaczanych przed nim przez elokwentnego naukowca, że aby wesprzeć prace nad V-2, zmniejszył fundusze na projekt budowy bomby atomowej – przynajmniej tyle dobrego z tego wyszło. Przyznał też von Braunowi tytuł profesorski i odznaczył go Krzyżem Rycerskim.

Było to czwarte spotkanie genialnego wyidealizowanego z Hitlerem. Po raz pierwszy zetknęli się w 1934 roku, tuż po przejściu władzy przez NSDAP. Przyszły konstruktor pocisków V-2 i rakiet nośnych Saturn, które zawiódły Amerykanów na Księżyc, był wtedy 22-letnim inżynierem. Szybko wyczuł, gdzie stoją konfitury, choć początkowo nie był pewien, →

## Porażka na własne życzenie

Pół wieku temu pierwszy człowiek poleciał w Kosmos. Gdzie dziś znajdują się załogowe loty kosmiczne i dlaczego w tak ciemnym miejscu?

PIOTR STANISŁAWSKI



Do lotu zrywa się Atlantis. To właśnie ten prom będzie ostatnim, który zamknie historię lotów wahadłowców

**N**a pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że historia zatonęła. Oto równo 50 lat temu Rosjanie jako pierwsi polecili w Kosmos – Amerykanie wówczas nie potrafili sięgnąć tak wysoko. Dziś znowu Rosja lata w przestrzeń kosmiczną, a Ameryka jest uziemiona – ostatni lot wahadłowca oznaczony jako STS-135 odbędzie się zapewne pod koniec czerwca.

Ale jeśli przyjrzymy się bliżej, to historyczne koło przypomina mocno rozciągniętą elipsę – o ile pół wieku temu USA potrzebowały na nadrobienie zaległości niespełna roku (John Glenn okrążył Ziemię 20 lutego 1962 roku), o tyle dziś nawet nie widać rozwiązań, które pozwoliłyby Stanom Zjednoczonym dogonić Rosję i Chiny. Ameryka oddała się od załogowych lotów w Kosmos i dryfuje w nieznanne.

Jak to się stało, że największe mocarstwo musi płacić swojemu byłemu przeciwnikowi 55 milionów dolarów za każde miejsce w pojeździe Sojuz? Dlaczego po 30 latach lotów wahadłowców Amerykanie wylądowali na ziemi tak boleśnie?

## Rycerz i złoto

Cała historia sięga przełomu lat 60. i 70. Osiągnięto wtedy cele, które stawiano przed programem Apollo – USA doleciały na Księżyc i bezpiecznie wróciły. Rosja ze swoimi księżycowymi fazikami była w porównaniu z nimi malutka. Wtedy właśnie powstał ambitny projekt podboju przestrzeni kosmicznej. Zaplanowano równoczesne prowadzenie dwóch programów – budowę stacji orbitalnej i nowej linii pojazdów kosmicznych, które służyłyby stałej komunikacji →



# Ujarane prawo

Wbrew zdrowemu rozsądkowi, głosom naukowców i sprawdzonym rozwiązaniom z Europy polscy posłowie ustalili groteskowe przepisy antynarkotykowe. Podarowali nam wszystkim bubel prawny, przez który wciąż za jednego skręta w kieszeni Polak trafia za kratki

AGATA JANKOWSKA, ANNA SZULC

**P**alić! Sadzić! Zalegalizować!" – tak latem zeszłego roku skandowały tysiące młodych Polaków na organizowanych w wielu miastach Marszach Wolnych Konopi. – Jak najbardziej legalizować – wtóruje im dziś Ryszard Kalisz, prawnik i poseł SLD, zastrzegając jednocześnie – oczywiście nie wszystko i nie w każdych ilościach. – Powinniśmy dążyć do tego, by posiadanie niewielkich dawek narkotyków miękkich, takich jak marihuana, było dozwolone – postuluje Marek Balicki, były minister zdrowia, a przede wszystkim psychiatra. – Państwo nie może tysięcy imprezowych palaczy marihuany traktować jak pospolitych przestępców.

A jednak potraktowało. Rząd zapewniał, że nowelizacja ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii przyjęta przez Sejm 1 kwietnia ochroni młodych ludzi, którzy dziś – za jointa lub dwa – stają przed obliczem prokuratora. Politycy tłumaczyli, że daje ona śledczym coś w rodzaju prawa łaski. Że prokuratorzy będą mogli jeszcze przed wszczęciem śledztwa odstąpić od ścigania obywatela złapanego z narkotykami. Pod warunkiem, że miał przy sobie „nieznaczna ilość” środków psychoaktywnych.

## Działki dla prokuratorów

I tu, niestety, jest pies pogrzebany. Parlamentarzyści, którzy głosowali za ustawą, wydawało się, że wykonują w ten sposób krok w stronę liberalizacji prawa. Problem w tym, że najwyraźniej nie doczytali obowiązujących już przepisów, które uśmiercają nowe rozwiązania.

Doktor Andrzej Sakowicz, specjalista od legislacji z Biura Analiz Sejmowych, ostrzegają,

że prokurator nie ma możliwości umorzenia śledztwa przed jego wszczęciem. Bo z artykułu 303 Kodeksu postępowania karnego niezbiecie wynika, że jeśli śledczy ma podejrzenie, iż przestępstwo zostało popełnione, to musi wszcząć śledztwo. Nawet jeśli będzie chciał przymknąć oko na skręta znalezione w kieszeni studenta.

– Prokurator wciąż nie ma prawa odpuścić – wyjaśnia profesor Marian Filar, specjalista od prawa karnego i poseł SLD. Wskazuje też na inną kwestię, której posłowie w ogóle nie wzięli pod uwagę. – Policjanci i prokuratorzy chcą się wykazać pracowitością i mieć dobre wyniki. Dlatego nie wierzę, że będą łagodniej traktowali palaczy trawki – wątpi.

Jego słowa potwierdzają sami funkcjonariusze. – W pracy policji nic się nie zmienia. Ustawa mówi wyraźnie, że posiadanie każdej, nawet najmniejszej ilości narkotyku jest przestępstwem, a psim obowiązkiem policji jest ściganie przestępców – mówi dobitnie w rozmowie z „Przekrojem” rzecznik prasowy komendanta głównego policji młodszy inspektor Mariusz Sokołowski. – Im więcej złapiemy posiadaczy, nawet nieznacznych ilości, tym więcej informacji zbierzemy – anonimowo mówi nam policjant operacyjny z Warszawy. – Tylko że żaden diler nie doprowadzi policjantów do grubej ryby, bo woli stracić wolność niż życie! – oburza się Marek Zygałdo, do niedawna szef krakowskiego Monaru, jeden z najsłynniejszych polskich terapeutów uzależnień.

Ale to nie wszystko. Ewelina Kuźmicz, socjolog z Instytutu Spraw Publicznych, poru-



Z narkofobii powinni się leczyć politycy, prokuratorzy i policjanci

sza jeszcze jedną kwestię, za sprawą której nowelizacja ustawy od razu nadaje się do wyrzucenia do śmieci. Zapis o „nieznacznej ilości” narkotyków, którą – teoretycznie – bezkarnie można mieć przy sobie.

– Nikt nie określił jednak, co kryje się pod tym sformułowaniem – przypomina Kuźmicz, która przeprowadziła w zeszłym roku badanie wśród prokuratorów. Zapytała ich, co oznacza dla nich „nieznaczna ilość”. Trzy czwarte śledczych odpowiedziało, że to dwie działki (czyli mniej niż trzy gramy narkotyków). Tymczasem dla co 10. „znaczna ilość” zaczyna się powyżej 50 działek. To pokazuje, na jak wielkiej niejednoznaczności zbudowano tę nowelizację.

## Milion, może dwa

Dlaczego rząd nie zadbał o precyzyjne sformułowanie prawa? – Dokładne określenie granicy między nieznaczną a znaczną ilością środków odurzających wymagałoby ogrom-

nego nakładu czasu i pieniędzy, powołania zespołu toksykologów i farmakologów, którzy musieliby przebadać ponad sto substancji psychoaktywnych i określić w każdym przypadku, ile gramów czystego narkotyku znajduje się w danej działce – wylicza profesor Krzysztof Krajewski, który przewodniczył zespołowi ekspertów wspierających nowelizację ustawy przygotowaną przez resort sprawiedliwości. – Obawiam się, że z tego powodu czekają nas bardzo różne wyroki w podobnych sprawach – dodaje Ewelina Kuźmicz.

Podobnego zdania jest Robert Makłowicz, dziennikarz i pisarz, który od wielu miesięcy wraz z dużą grupą polskich twórców i artystów lobbuje za legalizacją narkotyków miękkich, czyli między innymi marihuany. – W kraju o tak niskiej kulturze prawnej jak Polska prawo musi być jednoznaczne – irytuje się Makłowicz.

Tym bardziej że przepisy antynarkotykowe wciąż będą wymierzone w potężną grupę

obywateli. Jak potężną? Tak naprawdę nikt nie wie, ilu Polaków, najczęściej w ramach relaksu, nabija sobie łufkę z ziołem zawierającym substancje psychoaktywne z grupy kannabinoli. Innymi słowy – z marihuaną. Z ubiegłorocznych badań CBOS wynika, że 16 procent uczniów ostatnich klas szkół ponadgimnazjalnych miało w ciągu roku kontakt z narkotykami, głównie z trawką. Z kolei według dużo szerszych analiz Krajowego Biura do spraw Przeciwdziałania Narkomanii skręta choć raz zapaliła jedna trzecia Polaków. Polska Sieć Polityki Narkotykowej – organizacja skupiająca między innymi terapeutów uzależnień, lekarzy, pedagogów i prawników – szacuje natomiast, że marihuankę pali w naszym kraju ponad milion osób. Takie dane przekazała do Europejskiego Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii w Portugalii.

Członkowie lobbującej za legalizacją marihuany organizacji Wolne Konopie obliczyli, że tylko mieszkańcy Warszawy i okolic od czwart-

ku do niedzieli wydają w sumie trzy miliony złotych na marihuane. Gram tego narkotyku kosztuje średnio 30 złotych, a sprzedaje się go najczęściej w pakietach pięciogramowych za 150 złotych. Województwo mazowieckie zamieszkuje blisko pięć milionów mieszkańców, z czego 1,5 miliona w wieku 17–30 lat. Z raportu ONZ z 2010 roku wynika, że 30 procent tej grupy wiekowej na świecie, czyli w przypadku Mazowieckiego 450 tysięcy osób, ma regularny kontakt z marihuaną.

Wśród nich jest Jurand Kisielewski z Warszawy. Ma 20 lat, trawkę pali od czterech. – To rozwija, wyzwala abstrakcyjne myślenie – twierdzi. W marcu tego roku w parku na warszawskiej Woli do Juranda podeszło dwóch tajniaków. Nie byli abstrakcyjni. Pokazali policyjne legitymacje i przetrzepali mu kieszenie. Znaleźli trzy zawiniątka, każde z gramem marihuany. – Skuli mnie w kajdanki – wspomina Kisielewski. – Na komisariacie traktowali mnie z pogardą, jak ćpuna i degenerata. Śmiali się, że nie piję wódki jak normalny człowiek.

Z tej perspektywy Jurand rzeczywiście normalny nie jest, bo alkoholu nie lubi. Twierdzi nawet, że jest szkodliwy, w przeciwieństwie do marihuany. Co roku z powodu alkoholu umiera w Polsce 30 tysięcy osób, a z przedawkowania zwykłych leków przeciwbólowych życie traci trzy tysiące osób. Na temat zgonów spowodowanych paleniem marihuany statystyki milczą. Przeciwnicy trawki przekonują jednak, że bardzo trudno jest stwierdzić, ile osób przechodzi od miękkich narkotyków do twardych, od których znacznie łatwiej się uzależnić.

## Ramię w ramię z Białorusią

Z przygotowanego jeszcze pod koniec lat 90. raportu Światowej Organizacji Zdrowia wynika, że w papierosy, I w przeciwieństwie do tytoniu mogą leczyć. Próbowal tłumaczyć to swoim kolegom posłom były minister Marek Balicki, namawiając ich do wprowadzenia do ustawy antynarkotykowej zapisu o zalegalizowaniu marihuany do celów leczniczych. Badania prowadzone przez amerykańskich naukowców potwierdziły, że marihuana skutecznie wspomaga leczenie takich chorób jak rak, stwardnienie rozsiane i anoreksja. A tabletki ze sproszkowaną trawą nie tylko uśmierdzają ból, ale też zapobiegają napadom padaczki, uspokajają i poprawiają apetyt. Można je kupić w aptekach w Wielkiej Brytanii, we Francji, w Niemczech, Czechach, Belgii, Szwajcarii i Portugalii. Ponadto jeden z preparatów na bazie konopi, zalecany do walki →

Fot. Damian Kramski/AG

→ z otyłością, już cztery lata temu został zaakceptowany przez Komisję Europejską i pod nazwą Acompla dopuszczony do obrotu w większości państw unijnych. W Polsce jest jednak wciąż nielegalny. Handel nim kwitnie za to w Internecie.

Większość krajów Unii pozwala również swoim obywatelom na posiadanie niewielkich ilości narkotyków. W przeciwieństwie jednak do Polski precyzyjnie określają one, co to jest „niewielka ilość”. Czech na przykład bez obawy, że spotka się z prokuratorem, może mieć przy sobie 15 gramów marihuany. Takie przepisy nasi sąsiedzi wprowadzili w ubiegłym roku. Także Niemiec może nosić w kieszeni 15 gramów. W Belgii, we Włoszech, w Hiszpanii i Rosji dopuszczalne jest za to nie więcej niż 10 gramów. We Francji z kolei za taką działkę policja karze, ale tylko mandatem.

Zgodnie z portugalskim prawem narkotyki są nielegalne, ale za ich posiadanie nie wszczyna się procedury karnej. Takie przepisy parlamentarzyści z Lizbony wprowadzili już w 2001 roku. W ciągu kilku lat spadła liczba osób uzależnionych od narkotyków twardej i zarażonych wirusem HIV.

Zmiany w Portugalii wprowadzono rok po tym, jak polski Sejm przyjął najbardziej – poza Białorusią – rygorystyczną ustawę antynarkotykową w Europie. Zgodnie z nią za każdą ilość narkotyków w kieszeni szło się do więzienia. Efekt widać w policyjnych statystykach. W 1999 roku, tuż przed wprowadzeniem obostrzeń, za narkotyki skazano 2910 osób, w tym 1714 handlarzy. Osiem lat później natomiast liczba skazanych za posiadanie narkotyków wzrosła o 1500 procent i wyniosła 20 438 osób, podczas gdy liczba handlarzy zmalała dwukrotnie, do 832.

### Dzieciaki za kratami

Jurand Kisielewski może wkrótce podnieść te statystyki. Czeką na wyrok sądu. Grożą mu trzy lata więzienia. Jednak Jurand nie jest typowym przypadkiem, bo nie dość, że jest muzykiem (a marihuana jest bardzo popularna w jego środowisku), to jeszcze zdarza mu się wypalać skręty wspólnie z ojcem – który również jest muzykiem, a poza tym pisarzem i reżyserem. Co miało i dobre strony – podczas policyjnego przeszukania cała rodzina Kisielewskich zachowała zimną krew. Sprawa jest jednak poważna. – Boję się, że odbije się to na mojej karierze i dorosłym życiu – martwi się Jurand. I słusznie, bo jest się czego bać. Rocznie przez więzienia i areszty (w tym te 48-godzinne) przewijają się dziewięć tysięcy skaza-



Nieudolna nowelizacja ustawy antynarkotykowej to zastona dymna, która nie rozwiązuje problemu

nych na podstawie ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii.

– Dziś mamy 3,5 tysiąca osadzonych, z czego 650 osób za posiadanie nieznacznej ilości narkotyków – wylicza pułkownik Kajetan Dubiel, były dyrektor generalny Służby Więziennej. To głównie ci, u których „towar” znaleziono po raz drugi, bo za pierwszą wpadkę sąd najczęściej daje wyrok w zawieszeniu. To nie dilerzy, ale przede wszystkim tak zwani użytkownicy marihuany, wśród których 80 procent – jak wynika z opublikowanego w ubiegłym roku raportu Instytutu Spraw Publicznych – posiadało mniej niż trzy gramy narkotyku.

– W aresztach i więzieniach siedzą dziś nie handlarze i przestępcy, ale wystraszone dzieciaki, które zazwyczaj z ciekawości lub za namową kolegów zapaliły kilka skrętów – przyznaje terapeuta Marek Zygałdo. – Konsekwencje, jakie ich spotykają, są tragiczne. Nierozdumno oznaczają złamane życie – dodaje.

Podobnego zdania jest pułkownik Dubiel. – Serce mi się kraje, gdy patrzę na osadzone dzieciaki. Dopiero tu przesiadają kryminalną atmosferą. W więzieniach narkotyki są powszechne – tłumaczy. – Tu więcej złego można się nauczyć niż oduczyć.

23-letni Kamil z Częstochowy, student Politechniki Warszawskiej, miał pecha. Podobnie jak wielu jemu podobnych młodych ludzi. W październiku zeszłego roku policja znalazła w jego skarpetce pół grama marihuany. – Był środek nocy. Oblewaliśmy pierwszy dzień roku akademickiego w studenckim pubie. Paliliśmy jointa z kolegą w krzakach przed lokalem. Ledwo skończyliśmy, a patrol już nam obszukiwał kieszenie, portfele, roz-

kładal telefon komórkowy na części pierwsze. Policjanci kazali zdjąć buty, obszukali skarpety – opowiada. I tak wpadł. W czasie gdy chłopak spędzał dobę w areszcie, czterech funkcjonariuszy z dwoma psami obszukiwali dom jego rodziców w Częstochowie. Trzy dni później rodzice odwiedzili Kamila w Warszawie.

– Ojciec w drzwiach uderzył mnie w twarz. Matka wpadła w histerię. Krzyczeli, że jestem narkomanem, że nie jestem już ich synem i że nie mam już domu – wspomina student. Od tego czasu Kamil nie rozmawiał z rodzicami. Chciał pojechać do domu na święta, ale matka odłożyła słuchawkę, gdy usłyszała głos syna. Wysłał kartkę z życzeniami i przeprosinami. Do dziś nie dostał odpowiedzi.

### 80 milionów na walkę z trawą

Ale Kamil ma nie tylko rodzinne kłopoty. – Taki incydent może się ciągnąć za skazanym do końca życia – wyjaśnia Kajetan Dubiel. – W rejestrze zostaje notatka. Nie można wstąpić do służb mundurowych ani objąć posady w żadnej instytucji Unii Europejskiej. Nawet dzieci skazanego mogą mieć problem z pracą. Niektóre firmy sprawdzają bowiem także niekaralność rodziców.

To z powodu „dzieciaków” takich jak Jurand i Kamil pułkownik Dubiel zdecydował się wziąć udział, jako ekspert, w pracach nad zmianami w polskim prawie antynarkotykowym. Bo nieskuteczne prawo pociąga za sobą koszty nie tylko społeczne i psychiczne. Zaangażowanie służb w śledztwa, ekspertyzy procesowe i pobyt w celach osób skazanych za narkotyki rocznie kosztuje nas wszystkich 80 milionów złotych. Wyliczenia przedstawia Katarzyna Malinowska-Sempruch, dy-



Oto potencjalni pensjonariusze zakładów karnych – aktywiści walczący o legalną marihuane

rektor Międzynarodowego Programu Polityki Narkotykowej Open Society Foundations. – Za taką sumę można by opłacić pensje dla trzech tysięcy osób, które mogłyby pomóc młodym ludziom i prowadzić rzetelne działania prewencyjne – przyznaje.

### Nielegalni pacjenci

Profesor Krzysztof Krajewski z Katedry Kryminologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, który przewodniczył w Ministerstwie Sprawiedliwości zespołowi ekspertów przygotowujących nowelizację ustawy antynarkotykowej, broni nowego prawa. – Zliberalizowana ustawa wprowadza wyraźną wskazówkę dla śledczych: dajcie sobie spokój z wytaczaniem wielkich dział, gdy staje przed wami student, przy którym znalezione jednego skręta. Szkoła waszego czasu i pieniędzy podatników, bo przecież angażowanie sił policji, prokuratury i sądów kosztuje. Nie macie do czynienia z dilerem, a jedynie, najczęściej, z osobą, która ma przy sobie, na własny użytek, nieznaczną ilość narkotyku – przekonuje rzadowy ekspert.

Nieco inaczej widzi to profesor Filar. – Wiem, że eksperci mieli dobre chęci i chcieli sensownie zmienić prawo. Natrafili jednak w rządzie na taki opór materii, że zamiast realnej liberalizacji przepisów mamy wiele hałasu o nic – tłumaczy karnista.

A brak kompetencji polityków jest bardzo szkodliwy. – Uderza nie tylko w przeciętnych palaczy marihuany, ale przede wszystkim w pacjentów używających cannabis, czyli leczniczej marihuany, którzy w Polsce też istnieją – podkreśla socjolog Eliza Walczak, założycielka fundacji ZEST – Związku Eksperymentów Społecznej Tolerancji.

Walczak chce wprowadzić w Polsce program Feniks, który zakłada stworzenie zamkniętego systemu upraw i dystrybucji cannabis do celów leczniczych, na użytek pacjentów. Inicjatywa wywodzi się z niekomercyjnej or-

ganizacji WAMM Wo/Men's Alliance for Medical Marijuana i programu zarządzanego przez izraelskie ministerstwo zdrowia. Lista członków jest otwarta, na razie jest na niej blisko 30 osób. To głównie osoby cierpiące na stwardnienie rozsiane, dotknięte nowotworem, chorzy na epilepsję i ADHD. W tym także 34-letnia graficzka z Krakowa, która ze stwardnieniem rozsianym zmagą się od 11 lat. Leczy się marihuaną medyczną, nielegalnie, dlatego prosi, by nie podawać jej nazwiska. Podkreśla, że tylko dzięki ziołom żyje normalnie, ma wciąż sprawne ręce i może rysować. „Niestety, mój kraj, a właściwie ludzie, którzy ustanawiają tu prawo, pokazują mi na każdym kroku, że nie jestem tu mile widziana. Mój kraj jest moim wrogiem. A ja dla mojego kraju jestem kryminalistką” – napisała graficzka w liście do fundacji ZEST.

Takich osób jak ona jest więcej. Wolą się jednak nie ujawniać. – Pacjenci mają prawo do leczenia i informacji, tymczasem skazuje się ich na konieczność korzystania z czarnego rynku – zauważa Eliza Walczak.

Program Feniks mógłby wejść w życie, gdyby zaakceptowało go Ministerstwo Zdrowia. I gdyby politycy zgodzili się na wprowadzenie marihuany do obrotu farmaceutycznego. – Nieuleczalnie chorzy pacjenci zasługują na wybór: morfina albo ciasteczko cannabis – uważa założycielka fundacji ZEST. Jak dodaje, pierwsza opcja grozi wyłączeniem świadomości chorego, druga natomiast – napadem śmiechu i wzrostem apetytu.

### Galopująca narkofobia

Posłowie uznali jednak, że nikt w Polsce nie zasługuje na leczenie trawką. Nowelizacja ustawy nie pozwala na wykorzystanie jej do celów medycznych. Dla polityków bowiem to nie środek do leczenia, ale do... zabijania. – Marihuana nie jest lekiem, jest środkiem, który odurza i ogromnie uzależnia, nie zabija od razu, ale z czasem powoduje, że młody człowiek staje się osobą chorą – ogłosiła Beata Małecka-Libera, posłanka PO, z zawodu laryngolog. – Skoro nawet lekarze opowiadają takie bzdury, jak mamy tworzyć prawo oparte na racjonalnych przesłankach i wiedzy naukowej? – oburza się Marek Balicki. – A wszystko to z powodu galopującej u nas narkofobii.

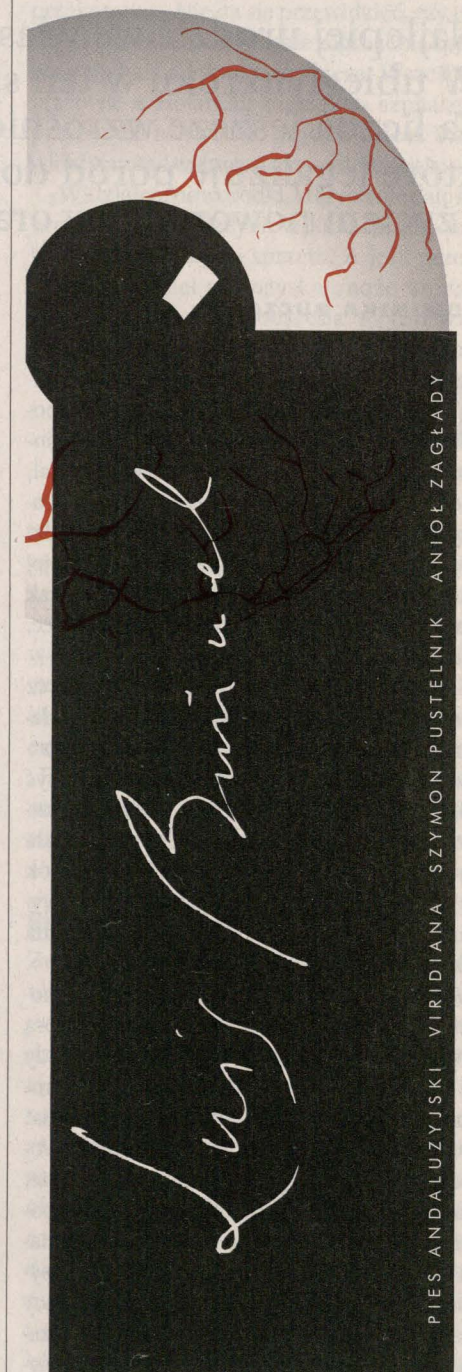
Narkofobii – którą, jak z kolei przyznaje profesor Jerzy Vetulani, słynny polski farmakolog – trzeba w Polsce leczyć. Leczyć się z niej powinni lekarze, politycy, prokuratorzy i policjanci. Którym wciąż wydaje się, że uganiając się za sobotnio-niedzielnymi palaczami trawy, walczą ze straszliwym narkobiznesem. ●

REKLAMA

mayfly

4 DVD

zaprasza Zbigniew Rybczyński



PIES ANDALUZYJSKI VIRIDIANA SZYMON PUSTELNIK ANIOŁ ZAGŁADY

KING RADIO VOX FM PRZE KROJ STOKIATKA.PL DOBRA STRONA FILMU  
TVP2 TVP KULTURA EKSPUSIV K MAG MAGAZYN





# Co kręci Araba?

## Przewodnik po popkulturze

Arabowie z różnych krajów są dziś ze sobą bliżej, niż byli za Mahometa. Sprawili to królujące na Bliskim Wschodzie seksbomby, seriale i rewolucje. Czy więc w końcu ziści się sen o arabskiej jedności?

ŁUKASZ WÓJCIK

Gdy w ostatnich dniach marca grupa libijskich rebeliantów odparła atak wojsk Muammara Kaddafiego pod Adżdabiją, na poboju zostały wraki dwóch ciężarówek wojskowych. Rankiem następnego dnia odbyła się inspekcja zdobytego sprzętu. Jak później opisywał reporter Reutersa, tył kabiny jednej ciężarówki był zaklejony plakatami Amr Diaba i Hajfy Wehbe. Ten pierwszy to taki egipski Piasek, tylko nieco bardziej „przepakowany”. A przy pochodzącej z Libanu Hajfie nasza Doda wygląda, jakby śpiewała w chórze kościelnym.

Tytułu jednej z jej piosenek „Buss el Wawa” (co można przetłumaczyć jako „Pocałuj moją ranę”) wyzwolona egipska młodzież używa dziś jako zakamuflowanej propozycji seksualnej, a „Dżauaab nihaai?” („Czy to twoja ostateczna decyzja?” – gryps odpowiednika Huberta Urbańskiego z „Milionerów”) powtarzają miliony arabskich gospodyń domowych. Świat arabski zaczyna być pełen kodów zrozumiałych dla wszystkich jego mieszkańców. Coraz częściej słuchają tej samej muzyki, oglądają te same programy telewizyjne i czytają te same książki.

To, o co walczyło całe pokolenie arabskich polityków z powojennym prezydentem Egiptu Gamalem Abdelem Naserem na czele, dziś staje się rzeczywistością nie dzięki polityce, lecz popkulturze. Arabowie od Atlantyku do Zatoki Perskiej są coraz bliżej siebie. Na razie kulturowo, ale jutro być może też politycznie. Ben Ali w Tunezji, Mubarak w Egipcie, a teraz Kaddafi w Libii – kolejni arabscy kacykwowie upadają jak kostki domina. A to oni przez kilkadziesiąt lat hamowali integrację, bo żaden z nich nie chciał stracić swojego królestwa. A teraz? W końcu Arabowie mają



Hajfa Wehbe być może nie wygląda na typową szycitkę, ale podziwia Hezbollah. Bez wzajemności

ze sobą znacznie więcej wspólnego niż my, Europejczycy.

### Jestem Arabem

W Rosji popularne jest powiedzenie, że jeśli potrzebujesz Rosjanina, to spod farby może wyjść Tatar albo Kozak. Jeśli potrzebujesz Araba, może wyjść Berber, Nubijczyk, Kurd lub przedstawiciel jeszcze innej grupy etnicznej. W 2001 roku hitem arabskich dyskotek była piosenka „Arabijun Ana” – „Jestem Arabem”. Śpiewał ją Juri Mrakadi, młody obywatel Libanu, syn Ormianina i Francuzki.

Próby uczynienia z tych ludzi Arabów pojawiły się już w VII wieku, gdy wojownicy Ma-

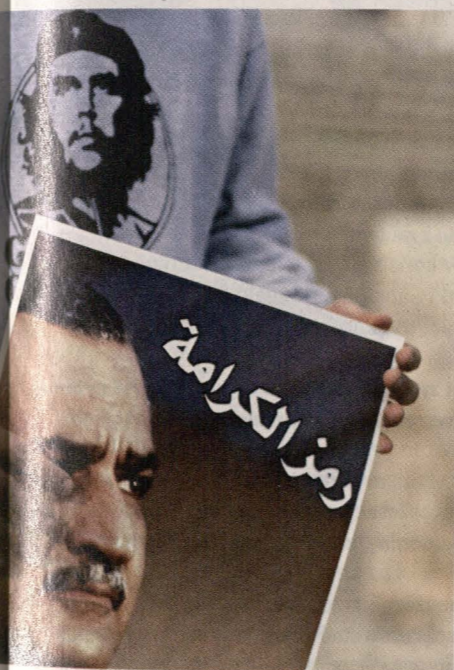
hometa przetoczyli się przez Bliski Wschód. Potem tego zadania podejmowało się jeszcze kilka dynastii. Aż przyszli Francuzi i Brytyjczycy i w 1916 roku według swojego widzi mi się podzielili Arabów, tworząc na Bliskim Wschodzie sztuczne państwa.

Próby ponownego ich zjednoczenia w latach 50. XX wieku podjął prezydent Naser. Gdy nie udało mu się to za pomocą polityki, wpadł na pomysł, aby wykorzystać wyjątkową pozycję Egiptu w arabskiej kulturze. I na falach radia Kair w świat arabski popłynęły piosenki Umm Kulthum. Znany amerykański krytyk muzyczny napisał kiedyś o niej: „Wyobraźcie sobie połączenie wirtuozerii Eli-

Fitzgerald, osobowości Eleonory Roosevelt i umiejętności scenicznych Elvisa. I macie Umm Kulthum”. Przez dwie dekady była „głosem Arabów”. W dużych arabskich miastach trudno o starszą osobę, która nie potrafiłaby zanucić jednego z jej przebojów. To ona, obok aktora Omara Sharifa, była w latach 60. i 70. największą dumą Arabów.

### Seksbomba kontra Hezbollah

Dziś nietatwo znaleźć arabską stolicę, którą nie byłaby zaklejona plakatami Nancy Adżram. Ta libańska wokalistka, mimo że ma zaledwie 27 lat, sprzedała ponad 50 milionów płyt i jest już bezsprzecznie najpopularniejszą arabską piosenkarką w historii. I może nawet nie o muzykę tu tak naprawdę chodzi, bo ta jest prosta – Nancy śpiewa zawsze o miłości, sa-



For: Sebastian Schmelzer/AP/East News

„Wielki szacunek” – głosi napis na zdjęciu Naseru. Właściwie to nie miłości, a prędkości czy późniejszej pojawi się jak mantra „Ja habibi” („Hej, kochanie”) znane zapewne wszystkim Polkom, które kiedykolwiek były w kraju arabskim. Bardziej uderza to, co widać na teledyskach. Przed Nancy nikt takich nie robił, bo możemy być pewni, że prędkości czy później zobaczymy 90 procent jej ciała. W normalnych warunkach za taki ekshibicjonizm i kocie ruchy przed kamerą któryś z bardziej zagorzałych braci muzułmanów mógłby ją ukamienować. Tyle że Adżram, tak jak wiele bohaterek wyobraźni Arabów, jest chrześcijanką. Jej główną konkurentką do tytułu panarabskiej seksbomby jest znana już z kabiny

libańskiej ciężarówki Hajfa Wehbe, 35-letnia sąsiadka Adżram z Bejrutu. W samym Libanie tylko ona może się równać popularnością z przywódcą Hezbollahu Hassanem Nasrallahem, co widać wyraźnie w napięciu między nimi. W październiku 2010 roku gazeta Hezbollahu „Al Manar” napisała, że Wehbe jest prawdopodobnie agentką Mossadu, której głównym zadaniem jest demoralizowanie Libańczyków. W kwestii demoralizacji trudno się nie zgodzić po obejrzeniu któregośkolwiek teledysku z udziałem Hajfy. Ale ona sama twierdzi, że szanuje Hezbollah, a w 2006 roku, gdy zaprotestowała przeciwko izraelskiej inwazji w południowym Libanie, stała się bohaterką wszystkich Arabów. O popularności Hajfy świadczy fakt, że jej piosenka z 2005 roku „Baddi Eesh” jest najczęściej wykorzystywaną melodią w telefonach komórkowych na całym Bliskim Wschodzie.

– Celebrytki jak Adżram i Wehbe mają dziś taki wpływ na Arabów, o jakim Naser mógł pomarzyć – mówi nam Ziad Newfal, dziennikarz i producent muzyczny z Libanu. – Fryzury, buty, ale nawet mimika – wszystko jest dokładnie studiowane i kopiowane. To dotyczy również mężczyzn, którzy pod wpływem tej dwójki zmieniają swoje oczekiwania wobec kobiet.

Z kolei Andrew Hammond w książce „Popular Culture in the Arab World” przekonuje, że obie seksbomby mają znacznie większe wpływy: „To, jak się zachowują, o czym śpiewają, zupełnie zmienia relacje społeczne u Arabów. Kiedyś Libanka nie miała wielu wspólnych tematów z Egipcjaną. Teraz mogą porozmawiać o najnowszym teledysku Hajfy”.

Obie nie byłyby jednak tak popularne, gdyby nie Carla. Blondwłosa Carla Haddad ma w panarabskiej telewizji MBC swój program „Carla-la-la”, coś w rodzaju arabskiego koncertu życzeń. Wystarczy zadzwonić, a ona wyemituje wybrany teledysk. Dzwonią głównie z Arabii Saudyjskiej. Proszą najczęściej o teledyski w stylu Nancy i Hajfy. I wygadują rzeczy, za które w swoim kraju dostaliby tuzin batów. Kilku panów tak się zagalopowało z komplementami wobec prowadzącej, że trzeba było zdjąć ich z anteny. Oprócz Saudyjczyków dzwonią też Marokańczycy i Jordańczycy. Słowem – cały arabski świat. Każde wydanie programu ma rekordową, kilkunastomilionową oglądalność.

### Arabski Urbański

Do niedawna rekord należał do arabskiej wersji „Milionerów” prowadzonej przez libańskiego lowelasa George’a Kurdahiego. Lubował się on we flirtowaniu z zapraszany

kobietami – nawet tymi, które zakrywały twarz. W 2009 roku nie zdzierzył tego konserwatywny burmistrz miasta Irbid na północy Jordanii kazał wyłączyć prąd w całym mieście na czas emisji programu. Ale widzom się podobało – według sondaży instytutu Zogby ponad 80 procent Arabów choć raz widziało „Milionerów”, a ponad 20 procent oglądało ten program regularnie.

Telewizja odmieniła życie Arabów. I nie chodzi tu tylko o stacje telewizyjne takie jak Al-Dżazira i o programy rozrywkowe. Nic tak nie jednoczy Arabów jak wieczorne pasmo seriali nadawane po zachodzie słońca każdy pozdłowy muzułmanin może przerwać post. Według instytutu Zogby na 350 milionów Arabów 280 milionów zasiada wtedy do uczy i włącza telewizor. A tam opery mydlane, głównie libańskiego lub egipskiego pochodzenia. Producenci często sprzedają swoje seriale do kilkunastu krajów arabskich jednocześnie, ale z zastrzeżeniem, że kolejne odcinki muszą być wyświetlane w tym samym czasie. Więc gdy w ramadanowy wieczór jakiś Ahmed porzuca w końcu Miriam dla Fejruz, cały Bliski Wschód płacze. Jednocześnie.

Telewizja ma jeszcze jedną zasługę w łączeniu Arabów – język. Bernard Lewis, znany arabista, opisując w latach 70. język arabski, przekonywał, że ze swoją różnorodnością i dynamiką jest on jak „nieokiełznana bestia” – każde miasto ma swój dialekt, każde pokolenie – swoje słownictwo. Jeszcze w latach 70. dla większości arabskich mieszkańców Lewantu przeciętny Marokańczyk był zupełnie niezrozumiały, a marokańska telewizja musiała dubbingować egipskie filmy, mimo że teoretycznie wszyscy mówili po arabsku.

Wystarczyło jednak kilka panarabskich stacji telewizyjnych i w ciągu dwóch dekad, pierwszy raz od czasów proroka Mahometa, Arabowie z najdalszych zakątków Bliskiego Wschodu rozumieją się nawzajem, a dzięki mediom mają wspólnych idoli, wspólne ulubione piosenki i śmieją się z tych samych, nieśmiesznych dla nas gagów. Czy to nie jest przepis na wspólne społeczeństwo? Mają już przecież jedną historię i w większości religię, wyznają podobne wartości. A teraz, po fali rewolucji na Bliskim Wschodzie, wielu Arabów dostanie demokrację. Jeśli kiedyś w przyszłości zaowocuje to arabską jednością, to nie będzie ona miała twarzy prezydenta Naseru, ale Hajfy Wehbe.

Muzyczne zaurczenia Libańczyka i teledyski bohaterek powyższego tekstu – do zobaczenia na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie



# Trzeba nam Einsteinów

O absolicie, Wszechświecie, lotach na Marsa i do gwiazd, a także o tym, skąd się wzięliśmy i kiedy, z profesorem **MICHAŁEM RÓŻYCZKĄ** rozmawia Grzegorz Miecugow

## Czy patrzeć w gwiazdy jest przygnębiające?

– Wprost przeciwnie. Mnie napawa optymizmem, jest odpoczynkiem od tego wszystkiego, co tutaj, na dole, jest nieprzyjemne.

## A nie czuje się pan pyłkiem, mikronem?

– Czuję się tak, ale to jest właśnie optymistyczne. Bez względu na to, co się ze mną stanie, cały ten ogrom i tak będzie się rozwijał po swojemu. Ja nie jestem najważniejszy i dobrze by było, gdyby większość mieszkańców naszego globu, a najlepiej wszyscy, też miała tę świadomość.

## W czasach naszej młodości czytaliśmy książki fantastycznonaukowe o podróżach do gwiazd. Dziś wiemy, że to mrzonka.

– Jeżeli nie odkryjemy jakichś praw fizycznych, których w tej chwili nie znamy, to rzeczywiście podróż do gwiazd będzie mrzonką. Żeby uzasadnić to, co powiedziałem, wystarczy sobie uświadomić, że w tej chwili najdalszy od Ziemi próbnik kosmiczny Voyager, lecąc z tą prędkością, z którą leci, dotrze do najbliższej gwiazdy za kilkadziesiąt tysięcy lat.

## Trwa eksperyment marsjański. Kilku ludzi zamkniętych w kapsule sprawdza, jak zniesliby podróż na Marsa.

– Takie podróże bylibyśmy w stanie odbyć.

## Tylko po co?

– Oczywiście, zawsze będą ludzie, którzy zapytają: Po co? Kiedy rozpoczynał program Apollo, prezydent John F. Kennedy, uprzedzając pytanie, zacytował słynne słowa Mallory'ego, który zapytany o powód wchodzenia na Mount Everest powiedział: „Bo jest”. Skoro możemy polecieć na Marsa, dlaczego mielibyśmy tego nie zrobić.

## W tej części nauki, która dotyczy lotów w Kosmos, przez ostatnie lata drepczemy w miejscu. Postęp w tej dziedzinie był częścią zimnej wojny.

– Ma pan rację, mówiąc, że to była polityka. Rosjanie zrobili Amerykanom bardzo przykrą niespodziankę, i to dwukrotnie. Raz, wysyłając w Kosmos pierwszy sztuczny księżyc Ziemi, a potem organizując pierwszy lot człowieka. To dało USA tak silny bodziec, że powstał program Apollo, przy którym pracowało paręset tysięcy osób i tysiące przedsiębiorstw kooperujących ze sobą. No i program odniósł sukces, bo to jednak Amerykanin pierwszy stanął na Księżycu.

## Następny będzie Chińczyk?

– Chińczycy swój program kosmiczny rozwijają, powiedziałbym, stacecznie, nie ma w tym nic z zawrotnego pędu z lat 60. Ale wróć do pańskiego stwierdzenia, że badania Kosmosu bardzo zwolniły. Eksploracja prowadzona przez loty załogowe rzeczywiście utknęła, ale otrzymujemy mnóstwo informacji od sond kosmicznych. O Marsie wiemy już niestety wiele. Zaczynamy poznawać geologię i przeszłość tej pla-

nety i domyślać się, dlaczego ewoluowała inaczej niż Ziemia, dlaczego wyschła i straciła prawie całą atmosferę. W tej chwili dzięki sondom zaczynamy przystępować do badania Merkurego i Wenus.

## Ta wiedza jest nam potrzebna na wszelki wypadek czy do czegoś konkretnego?

– To samo pytanie można postawić pod adresem każdego przedsięwzięcia w naukach fundamentalnych.

## Podczas analizowania, w jaki sposób zachowuje się komórka, jednocześnie bada się sposoby walki z rakiem.

– To prawda, ale gdyby w końcu XVIII wieku dwóch panów we Włoszech, niejaki Volta i niejaki Galvani, nie dźgało drutami martwych żab, to albo byśmy nie mieli elektryczności do tej pory, albo mielibyśmy ją o wiele później.

## Myślę, że z Kosmosem jest związana zagadka największa. Na pytania: gdzie jesteśmy, czym jest wszechświat, czym nieskończoność – nie ma odpowiedzi.

– Żeby już być całkiem ścisłym, my nie wiemy, czy wszechświat jest nieskończony czy skończony, to jeszcze nie jest przesądzone.

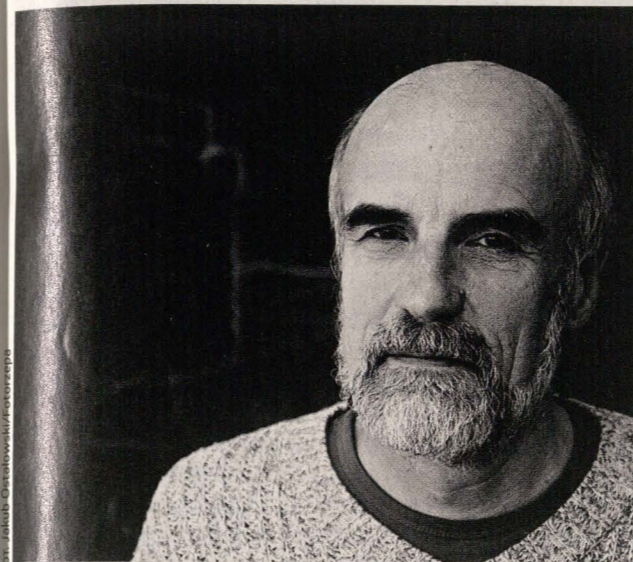
## Jeżeli Wszechświat jest skończony, jest to jeszcze większa zagadka – co jest za tym końcem.

– Żeby się w te rejony zapuszczać, trzeba wykroczyć poza naukę, czego ja nie lubię robić. Jeżeli chcemy stać na możliwie twardym gruncie, musimy się ograniczyć do współczesnej teorii kosmologicznej, która opisuje nam to wszystko, co widzimy w Kosmosie, i przewiduje różne rzeczy, których jeszcze nie widzimy, a które dzięki tym przewidywaniom będziemy mogli sprawdzić. Jeżeli poprzestaniemy na kosmologii opartej na teorii względności, dojdziemy do nieuchronnego wniosku, że mniej więcej 14 miliardów lat temu zaczął się Wszechświat. Ale jak się zaczął, dlaczego się zaczął, skąd się zaczął – tego teoria względności nam nie powie, ponieważ ona się w tym momencie załamuje. To jest właśnie jedna z tych zagadek, które mamy przed sobą i które – mam nadzieję – kiedyś rozwiążemy.

## Do tego jest potrzebna nowa teoria?

– Tak, co nie znaczy, że teoria względności straci ważność. Pewnie większość czytelników „Przekroju” nie wie, że gdyby nie ogólna teoria względności, nie działałby system GPS. Tak samo zresztą teoria względności nie unieważniła klasycznej fizyki Newtona. Sondy kosmiczne latają na inne planety, posługując się prawami Newtona. Prawa Einsteina nie są im potrzebne.

## Daleko nam do tej nowej teorii?



## Michał Różyczka

Profesor doktor habilitowany Michał Różyczka jest pracownikiem Centrum Astronomicznego imienia Mikołaja Kopernika Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Specjalizuje się w astrofizyce. Osiągnął znaczące sukcesy w numerycznych

symulacjach procesów zachodzących w różnych obiektach kosmicznych. Jego zespół badawczy przeprowadził w 2000 roku najdokładniejszą z dotychczasowych symulację wczesnych faz wybuchu supernowej.

– Nową teorią ma być tak zwana kwantowa teoria grawitacji, czyli coś, co łączy w sobie ogólną teorię względności i mechanikę kwantową. Są różne propozycje, jak to zrobić. Najbardziej zaawansowanym i ambitnym pomysłem jest tak zwana teoria strun. Ale nie jest to pomysł na tyle rozwinięty, by można było przejść do fazy weryfikacji doświadczalnej.

## A może teoria strun czeka na swojego Einsteina?

– Wydaje się, że czas indywidualności przeminął. Niestety. Bo nawet w obrębie wspomnianej teorii są liczne specjalności i pewnie niewielu ludzi ogarnia całość. Praca zespołowa staje się coraz ważniejsza. I jeżeli nie jeden supergeniusz, to zbiorowy wysiłek wielu mózgów doprowadzi do tego, że w końcu ruszymy z miejsca.

## A pan wierzy w to, że nauka jest w stanie wszystko odkryć?

– Nie, nauka jest potężna, ale nie wszechmocna. Podstawowe pytanie, które zadaje sobie od czasu do czasu pewnie większość z nas, brzmi: Skąd się to wszystko wzięło? Tyle że na to pytanie nauka nie odpowiada, ponieważ nie jest do tego powołana.

## To jest pytanie o absolut.

– Niektórzy uważają, że jest bezsensowne, ale dla innych jest ono bardzo ważne i tą drogą dochodzą do wiary.

## Pan się wzdraga przed podobnymi pytaniami?

– Nie, nie wzdragam się, twierdzę tylko, że nauka nie odpowie na nie.

## Zadaje pan sobie czasem pytanie, czy jesteśmy sami we Wszechświecie?

– Oczywiście, to jest chyba najbardziej fascynująca kwestia, którą może poruszyć astronomia i nauka w ogóle. Od dwóch lat krąży po orbicie

wokółziemskiej teleskop Kepler zaprojektowany specjalnie do poszukiwania planet podobnych do Ziemi. Z pierwszych danych zebranych dzięki niemu wiemy, że w promieniu tysiąca lat świetlnych od Słońca, a to tylko znikomy kawałek naszej galaktyki, jest około 30 000 planet potencjalnie nadających się do zamieszkania przez żywe istoty; w całej galaktyce takich planet może być 50 miliardów.

## Byłoby strasznym zarozumiałstwem twierdzić, że tylko nam się udało.

– Ale jednocześnie po grzbiecie przebiega dreszczyk niepokoju. A jeśli jednak to my jesteśmy najstarsi i najmądrzejsi we Wszechświecie – rany boskie, przecież to straszne.

## Statystycznie rzecz biorąc, to chyba jest niemożliwe.

– Kiedy pan mówi: statystycznie, od razu przypomina mi się słynne w latach 60. równanie Drake'a, które służyło do wyliczania prawdopodobieństwa, ile cywilizacji może być w galaktyce. Ono praktycznie miało same niewiadome. Dziś mamy więcej danych, ale w dalszym ciągu nie wiemy, jak dochodzi do tego, że z martwej materii powstają żywe organizmy. Ba! Ciągłe są spory dotyczące samej definicji życia. Zajmuje się tym coraz dogłębniej astrobiologia, która się pojawiła niecałe 15 lat temu, właśnie po tym, jak się okazało, że jest dużo pozasłonecznych układów planetarnych.

## A to życie może być blisko?

– Są dość poważne powody, żeby podejrzewać, że mikroorganizmy istniały na Marsie. Są też powody, by myśleć, że bardzo skomplikowane związki organiczne istnieją na Tytanie i na innym księżycu Saturna – Enceladusie. Pod jego lodową skorupą prawdopodobnie są oceany ciepłej wody, w której być może mogły się rozwinąć jakieś prymitywne organizmy.

## To nadal nie odpowiada na pytanie, skąd się wszystko wzięło.

– Nie odpowiada. W każdym razie wiedząc, jak długo życie na Ziemi ograniczało się do organizmów jednokomórkowych – a trwało to parę miliardów lat – wiemy tylko jedno: do rozwinięcia się bardziej złożonych organizmów potrzeba bardzo dużo czasu.

## Kosmos i Wszechświat są znacznie starsze, niż ktokolwiek z nas jest w stanie sobie wyobrazić. Gdy pan mówi: „parę miliardów lat”, jest to kompletna abstrakcja.

– Bo to jest kompletna abstrakcja. Układ Słoneczny istnieje 4,5 miliardów lat. Ale żeby mogło tu powstać życie, najpierw musiały pojawić się pierwiastki, których pierwotnie nie było. Na początku był wodór i hel. I temperatura sięgająca kilku tysięcy stopni. I z tego wszystkiego musiały się, jak to Lem ładnie kiedyś mówił, „ukugłać” cięższe atomy, przede wszystkim węgiel, tlen, azot i wapń. Ale zanim zaistniały nasze ciała, z tych samych cięższych pierwiastków najpierw musiały powstać planety, czyli Wszechświat musiał się trochę posmażyć, przejść przez kolejne fazy ewolucji gwiazd i galaktyk. Dopiero ukształtowanie się cięższych pierwiastków spowodowało powstawanie planet, na których mogło się pojawić życie. W pewnym sensie jesteśmy dziećmi gwiazd.

## Gdy pan wylicza ten ciąg warunków, wydaje się, że życie nie miało prawa powstać.

– Może być tak, że rzeczywiście do powstania życia potrzebny jest niesłychanie rzadki zbieg okoliczności. Na przykład Księżyc taki jak nasz. Przyplwy i odpływy wyrzucają organizmy na brzeg i te stwory muszą się nauczyć oddychać i w ogóle żyć na lądzie. W wodzie raczej się nie zrobi układów scalonych. Dopóki się z niej nie wyjdzie, nie ma szans na rozwój technologii.



## Pokręcone drzewo życia

### Naukowcy cierpią. Znowu ich starannie ułożona wizja świata ożywionego okazuje się niewiele warta. Sami są sobie winni

URSZULA DĄBROWSKA

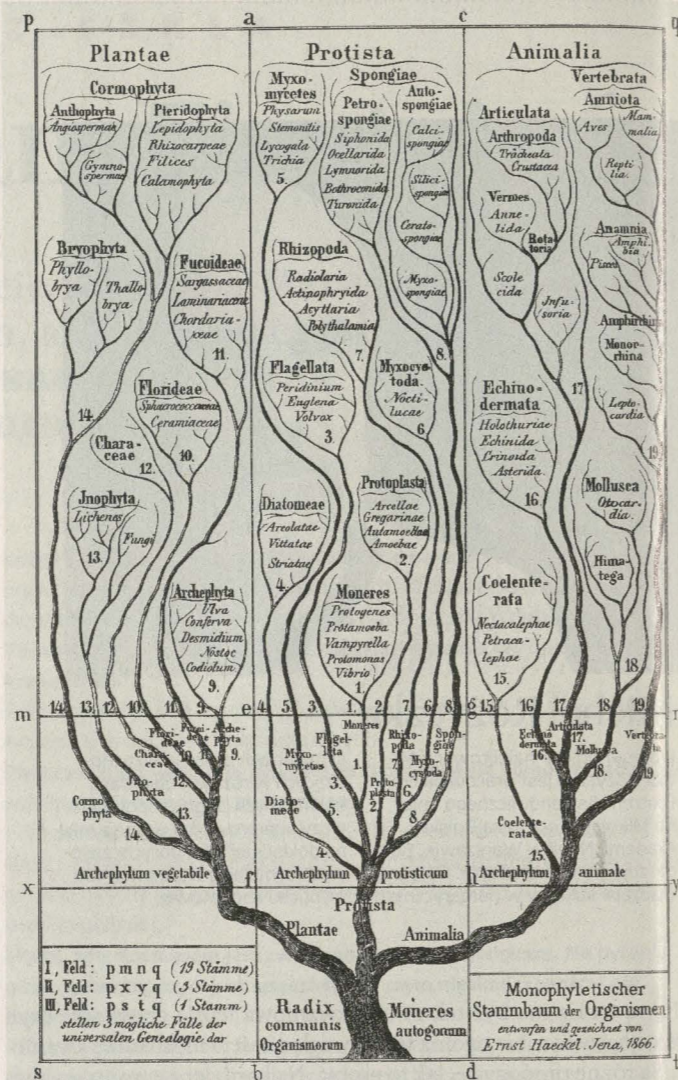
Gdy twoje oczy coś widzą, mózg od razu to klasyfikuje. Taka jego natura. Fafik przy twojej nodze to pies, drzewo to duża roślina, a nad tym wszystkim górujesz ty – istota rozumna, człowiek. Nawet jeśli w szkole nie byłeś orłem z biologii, to z grubsza wiesz, jak świat żywy jest podzielony: rośliny, zwierzęta, bakterie... Jakoś tak to szło. I jeśli dziś więcej nie pamiętasz, to się nie martw – systematyka z liceum jest już całkiem nieaktualna. Od 20 lat obowiązuje (ale raczej nie w szkołach) podział na trzy główne linie: jądrowce, bakterie i archeony. Słyszałeś o tym?

Nawet jeśli nie, to nadal się nie martw – być może i ten podział okaże się nieaktualny. Najnowsze badania głębin wód pokazują, że prawdopodobnie istnieje jeszcze czwarta gałąź drzewa życia. Doktor Jonathan Eisen z Uniwersytetu Kalifornijskiego w próbie z oceanu znalazł geny, które nie pasują do żadnej z trzech znanych linii. Jeśli to potwierdzi, trzeba będzie się nauczyć systematyki od nowa. W tym ludzkość ma już wprawę.

Od ponad dwóch tysięcy lat ludzie próbują odnaleźć ład w otaczającym świecie. Kto zaczął? Wygląda na to, że Arystoteles. Dla zwykłego mieszkańca starożytnej Grecji kamień, rzeka, wiatr były równie żywe jak drzewo i owca. Świat był po prostu przyrodą. Trzeba było głębszego namysłu, by w ogóle oddzielić materię ożywioną od martwej. A Arystoteles poszedł w swych obserwacjach jeszcze dalej – oddzielił rośliny i zwierzęta oraz zauważył, że światem żywym rządzi hierarchiczna struktura. Ciąg stworzeń – od najprostszych do najbardziej złożonych.

### Bestiariusze i zielniki

Dzieło Arystotelesa rozwinął jego uczeń Teofrast. Opisał on 500 gatunków roślin i podzielił je arbitralnie na cztery grupy (ta zasada utrzymała się, bagatela, 1800 lat, aż do XVI wieku). Tak utrwalił się określony model porządkowania wiedzy o przyrodzie: robimy rysunek, wymyślamy nazwę, dodajemy opis. Powstają coraz grubsze katalogi roślin i zwierząt. Zielniki – w celach leczniczych. Drugie (zwane bestiariuszami) zapehniały prawdziwymi i wymyślnymi stworzeniami – na potrzeby dydaktyczne i ku przestrodze. I tak, o ironio, porządkowanie wiedzy wprowadziło do niej jeszcze większy chaos.



Gdy w 1866 roku Ernst Haeckel rysował to drzewo, nie sądził, że będą się go uczyć pokolenia biologów. Szkoda tylko, że zwykłym ludziom trudno wśród tych gałęzi znaleźć choćby Homo sapiens

Przez ponad półtora tysiąca lat stosowano różne nazwy i podziały. Trzeba było szwedzkiego przyrodnika, by wreszcie wprowadzić uniwersalne zasady. Początkowo Karol Linneusz (czyli Carl von Linné) zrył się po prostu chaosem w nazewnictwie. By go opanować, skupił się na kluczowych cechach, według których posortował rośliny. Skorzystał z młodej wówczas wiedzy o seksie roślin, a dokładniej o ich męskich płciowych. W skrócie: pogrupował gatunki pod względem budowy, kształtu i liczby kwiatów. Podobnie seksualne podłoże miał jego podział zwierząt. Tak powstała uniwersalna klasyfikacja organizmów.

Świat nauki odetchnął z ulgą. Są dwa królestwa: zwierząt i roślin (tego to nawet nas w szkole uczono), które dzielą się dalej na 24 klasy roślinne i sześć zwierzęcych gromad: ssaki, ptaki, płazy, ryby, owady i robaki. Te podzielił Linneusz na kolejne poziomy aż do pojedynczego gatunku. Przepięknie. Tyle że nieprawdziwie. Bystry czytelnik zauważył, że w pracy Szweda nie ma w ogóle mowy o mikroorganizmach. Choć Holender Antonie van Leeuwenhoek odkrył bakterie i opisał je 80 lat wcześniej, za czasów Linneusza wciąż ich związek ze światem innych żywych organizmów nie był oczywisty.

### Drzewo życia

Mikroorganizmy dorobiły się własnego królestwa dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Maluszki, które nijak nie pasowały ani do roślin, ani do zwierząt, wrzucono do worka o nazwie protista (z oddzielną grupą monera dla bakterii). Twórcą i popularyzatorem tego nowego podziału był Ernst Haeckel, niemiecki biolog i artysta. Kreacjoniści nazywali go (i wciąż to robią) „buldogiem Darwina na kontynencie” (w Wielkiej Brytanii podobną rolę odgrywał Thomas Huxley). Nie bez powodu. Haeckel po przeczytaniu „O powstawaniu gatunków” z gorliwością neofity oddał się szukaniu dowodów na potwierdzenie teorii ewolucji. W tym celu rozwinął darwinowską ideę drzewa życia. Ma ono odzwierciedlać pokrewieństwo gatunków, które zależy od bliskości ewolucyjnej. Haeckel postanowił to potwierdzić, opisując kolejne jego gałęzie. I jak na artystę przystało – narysować. Trochę się w swojej pracy zagłupiał i nawet ludzi podzielił na kilka gatunków, uznając Homo mediterraneus (białych Europejczyków) za najbardziej rozwiniętych. Ale prócz naukowych podstaw do rozwoju nacjonalizmu Haeckel stworzył coś więcej: nowoczesne drzewo życia. W ostatecznej wersji wszystkie pędy wyrastają z jednego pnia, który dzieli się na trzy konary (odpowiadające królestwom Linneusza): protisty, rośliny i zwierzęta. Tak biologii uczono jeszcze naszych dziadków.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby ludzie nie zaczęli coraz śmielej przyglądać się temu, jak komórki wyglądają w środku. W pierwszej połowie XX wieku stwierdzono, że część z nich ma w sobie dużą strukturę, którą nazwano jądrem (rośliny i zwierzęta). Stąd organizmy wzięły swoją zbiorczą nazwę: eukarionty (jądrowce). Inne, bez jądra (prokarioty), znaleziono jako odnogę w królestwie protista. Awansowały więc stały się czwartym konarem. Wkrótce doszedł jeszcze piąty i szósty. W drugiej połowie XX wieku zmiany w systematyce następowały już tak szybko, że nawet nie będziemy ich tu wszystkich opisywać. W skrócie można powiedzieć, że im bardziej porządkowaliśmy, w tym większym chaosie żył przeciętny biolog, o studencie nawet nie wspominając. Z pięknego drzewa życia znowu zrobił się gąszcz.

Aż nastała era sekwencjonowania (badania i spisywania kolejności zasad w DNA). Porównywanie sekwencji genów dało nam mnóstwo nowej wiedzy o podobieństwach (i różnicach) między gatunkami. Wreszcie można było sprawdzić, czy nasze obserwacje mają rację bytu. Długo myślano, że hipopotam to krewny świni. A okazało się, że najbliższe mu wśród ssaków do waleni, delfinów i morświnów. Dzięki badaniu pokrewieństwa genetycznego takich błędów można unikać. Bo jeśli geny dwóch gatunków są do siebie podobne, to ich ewolucja

musiała długo przebiegać razem (to znaczy długo były jednym gatunkiem), aż z jednej gałęzi w drzewie życia powstały dwie.

### Gen prawdę ci powie

Rąco wzięto się do pracy i zsekwencjonowano geny tysięcy gatunków. I co nam z tego wyszło? Że błędziliśmy. Konary są, a jakże, ale nie sześć, lecz trzy i nie ma co w nie za szybko wplatać królestw. Te mogą stanowić dopiero wtórny podział. Pierwsze powinny być domeny: eukarionty (czyli właściwie wszystko to, o czym myślano od Arystotelesa do Linneusza włącznie), bakterie i archeony. Te ostatnie to przełomowe odkrycie lat 90. – podobne w budowie do bakterii, bliżej niż z nimi spokrewnione z eukariontami, egzystujące w warunkach ekstremalnych, które trudno było nawet podejrzewać o to, że coś może w nich żyć.

Czy to koniec porządków? Wątpliwe. Dziś naukowcy identyfikują 10 000 gatunków rocznie, w sumie znamy ich już ponad półtora miliona. Każdy z nich to liść na gałęziach drzewa życia. Dąb Bartek to przy nim pikus, a rozrośnięte się ono jeszcze bardziej, bo naukowcy szacują, że do odkrycia pozostało jeszcze pięć milionów gatunków. Co więcej, coraz bardziej przekonujemy się, że wizja Darwina nie jest do końca słuszna. Gatunki co prawda ewoluują ze wspólnych pni, ale ich geny nie muszą przy tym wcale na zawsze się rozdzielać. Jak to? W przyrodzie dochodzi nie tylko do przekazywania z pokolenie na pokolenie, ale też do wymiany materiału genetycznego między gatunkami. To horyzontalny transfer genów. Bywa, że jeden gatunek bakterii przekaże gen drugiemu (także drożdżom i grzybom). Wśród bardziej złożonych organizmów to zjawisko jest rzadsze, ale znaleziono na przykład taki transfer między grzybem a myszą. Dlatego drzewo życia zbudowane na podstawie sekwencjonowania zaczyna przypominać sieć.

Praca doktora Jonathana Eisena z Uniwersytetu Kalifornijskiego wywraca po raz kolejny myślenie o drzewie życia. Organizmy, których geny są tak odmienne, że nie pasują do żadnej ze znanych trzech gałęzi, żyją w głębinach morskich. Stąd od ośmiu lat próbki pobiera Craig Venter (ten od zsekwencjonowania genomu człowieka) wraz ze współpracownikami. Swój projekt nazwali „The Global Ocean Sampling Expedition”. W testach wykorzystują uwolnione DNA z tysięcy żyłtek, wszystkich znajdujących się w danej próbce. To bardzo przyspiesza analizę, ale ma jedną wadę: nie wiemy, do jakich konkretnie organizmów należą te tajemnicze geny. Jonathan Eisen obiecuje, że skupi się teraz na ich poszukiwaniu. Jeśli je znajdzie, drzewo życia trzeba będzie narysować po raz kolejny od nowa. Ale w tym nauka ma już sporo do świadczenia.



### Kawiarnia Naukowa ZAPRASZA NA DYSKUSJĘ „NARODZINY LEKU”

Co sprawia, że jedna spośród milionów cząsteczek staje się lekiem? Jak przebiega i ile kosztuje ten proces? Czemu jest tak długi? I kto czuwa nad jego przebiegiem oraz bezpieczeństwem leków?

Na te i inne pytania potencjalnego pacjenta odpowie Ewa Dyerowicz-Bal

Wstęp wolny. Organizatorzy: Festiwal Nauki, Uniwersytet Warszawski, Redakcja „Przekrój”

Zapraszamy: 18 kwietnia 2011 r. o godz. 18<sup>00</sup>, Skwer – Filia Centrum Artystycznego „Fabryka Trzciny”, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 60a

# Tradycyjna Wielkanoc z Krakowskim Kredensem

Piękne, uroczyste święta w rodzinnej atmosferze to marzenie każdego z nas. Aby dobrze się do nich przygotować, zadbajmy o wysoką jakość produktów, którymi przywitamy gości w Niedzielę Wielkanocną

Najlepszym adresem są stoiska Krakowskiego Kredensu, obecne w największych galeriach handlowych i delikatesach Alma, lub wirtualne półki, które można znaleźć na [www.alma24.pl](http://www.alma24.pl). Szczególnie ważne jest to dla nas przed Wielkanocą, gdy mamy więcej czasu na zakupy i chcemy, by rodzinna celebracja świąt była wyjątkowa.

Oferta firmy zaspokoi potrzeby nawet najbardziej konserwatywnych gospodyń domowych. Na półkach Krakowskiego Kredensu czekają bowiem aromatyczne i treściwe wędliny, słodkie przetwory owocowe, pikantne grzybki, ostry chrzan i ćwikła, wspaniałe ciasta oraz inne wyjątkowe wyroby, które przez dziesięciolecia pieściły podniebienia wymagających krakowskich mieszczan, a teraz mogą wzbogacić nasz stół.

## Nowa nadzieja

Najważniejszą rolę w wielkanocnych świątach odgrywają oczywiście jajka, które według tradycji symbolizują nowe życie. Od wieków

zajmują stałe miejsce zarówno w koszyku ze święconką, jak i na paradnym stole. Dzielenie się nimi z rodziną to jeden z najbardziej wzruszających świątecznych obyczajów, podobnie jak malowanie pięknych pisanek. Jajka to również nieodzowny składnik wielkanocnego żuru, a także podstawa przepysznych mazurków i bab, dlatego niezwykle ważne jest, abyśmy zatroszczyli się o jajka najwyższej jakości. W Krakowskim Kredensie znajdziemy swobodnie kręci się po wiejskim obejściu, a jak wiemy, to sposób hodowli drobiu ma największy wpływ na jakość i smak jajka.

## Zdrowie i dostatek

Absolutną podstawą wielkanocnego menu są przygotowywane według tradycyjnych receptur wędliny. W dawnych czasach wierzono, że spożywane podczas Wielkanocy zapewniają zdrowie, płodność oraz dostatek. Dziś doskonale wiemy, że tylko sporządzona w sposób tradycyjny, ze świeżego mięsa najwyższej jakości szynka doskonale nas krzepi i odżywia, czego najlepszym przykładem jest Szynka Arcyksięcia Ferdynanda, która swoją nazwę wzięła od imienia słynnego następcy austriacko-węgierskiego tronu. Arystokratyczna w smaku, treściwa (100 gramów produktu powstało ze 130

gramów mięsa wieprzowego), w całości wędzona i peklowana będzie fantastyczną ozdobą każdego stołu.

Równie wspaniałym wyborem jest Kielbasa Rotmistrza Krakowska Sucha przygotowana z mięsa wieprzowego i wołowego, a wędzona tradycyjną metodą w dymie z drzewa olchowego lub dębowego, dzięki czemu ma charakterystyczny ciemny odcień.

## Szlachetny smak

Na każdym wielkanocnym stole musi też pojawić się gęsta, aromatyczna zupa z dodatkiem jajka i białej kielbasy przyprószona odrobiną majeranku. Ważne, aby nie była zbyt kwaśna, o czym wiedział najlepiej namiestnik Galicji i zarazem marszałek sejmu krajowego we Lwowie, książę Eustachy Sanguszko. Na przełomie XIX i XX wieku wydzierżawił on swój Hotel Krakowski w Tarnowie Ferdynandowi Oleksemu, aby w tamtejszej restauracji móc rozkoszować się smakiem żuru na zakwasie zrobionym z mąki żytniej i łagodzących kwasowość płatków owsianych. Tę wspaniałą podstawę Oleksy wzbogacał wywarem z kości, warzyw, doprawiał suszonymi grzybami, czosnkiem i majerankiem. Ten tradycyjny, aksamitny smak można odnaleźć na półkach Krakowskiego Kredensu w Żurku Księcia Sanguszki, który będzie wspaniałą podstawą nie tylko wielkanocnego obiadu.

## Na ostro!

Nasze prababce wierzyły w magiczną moc chrzanzu – dodany do potraw miał zwiększać



sty i ostry będzie znakomicie komplementował podane przez nas szynki, kielbasy i paszety.

Chrzan wchodzi też w skład innego wspaniałego dodatku do zimnych wędlin – ćwikły – gdzie pikantność startego korzenia równoważona jest przez słodycz buraczków. Ćwikłę znajdziemy oczywiście w ofercie Krakowskiego Kredensu.

## Winnie i słodko

Warto urozmaicić smak mięs i szynek subtelnym smakiem przetworów, takich jak gruszki czy śliwki marynowane w occie, przygotowywane według domowej receptury, znanej tylko fachowcom z Krakowskiego Kredensu. Doskonale wyważona słodycz i kwasowość wzbogacą naszą wielkanocną ucztę.

Warto również sięgnąć po marynowaną paprykę, która wczesną wiosną ma znacznie więcej aromatu niż świeża. Pamiętajmy też o wspaniałych grzybach zbieranych wczesną jesienią i zamykanych w pięknych słoiczkach Krakowskiego Kredensu – zdrowe, smaczne i ekologiczne (mamy przecież jedne z najczystszych lasów w Europie!) kurki oraz podgrzybki to doskonały dodatek do wielkanocnych potraw.

## Deser

Ukoronowaniem każdego posiłku, a zwłaszcza świątecznego, jest wspaniały deser. Szczególnie niecierpliwie czekają na niego najmniejsi biesiadnicy, więc nie można im sprawić zawodu. Na półkach Krakowskiego Kredensu bez trudu znajdziemy dla nich coś pysznego. Wspaniały Pischinger Krakowski Kajmakowy zachwyci każdego połączeniem chrupkiego wafla i słodkiego, mlecznego kremu. Warto pamiętać też o wspaniałym cieście drożdżowym, które cukiernicy Krakowskiego Kredensu nasycili pysznymi bakaliami: orzechami, rodzynkami, daktylami, suszonymi morelami, figami i kandyzowaną skórą pomarańczową.

Co najlepiej podać do deseru? Naturalnie kawę! Do wyboru mamy ziarnistą Bohemę oraz mieloną Dekadencję, których zdecydowany smak będzie doskonałym zakończeniem nie tylko wielkanocnej biesiady.

[www.krakowskikredens.pl](http://www.krakowskikredens.pl)



# Zakochać się w Północy

Za morzami i wzgórzami leży kraina wymarzona na wakacje albo weekend dla tych, którzy w górach żałują, że nie są nad morzem, a w lesie tęsknią za miastem. W sercu norweskich fiordów każdy znajdzie coś dla siebie

TEKST I ZDJĘCIA  
MARCELINA SZUMER

**B**ergen jest położone w otoczeniu siedmiu wzgórz, dokładnie tak jak Rzym. Z tym że ci w Rzymie nie mają fiordów – mówi jasnowłosa (jak większość mieszkanek Skandynawii) Linn, moja przewodniczka. Jest koniec marca, jeszcze przed sezonem turystycznym. Na spacer po mieście ruszamy zaledwie godzinę po moim przyjeździe do Norwegii, mam tylko cztery dni i nie chcę tracić czasu. Zostawiam wypełnioną ciepłymi swetrami walizkę w pokoju i ruszamy ulicą Håkonsgarten w kierunku centrum. Linn cieszy się, że wzięłam parasolkę. – Czy ktoś ci już mówił, że to symbol Bergen? – pyta i wybucha śmiechem, widząc moją nietęgą minę (jakoś mi się nie uśmiecha zwiedzanie w strugach deszczu). Na szczęście kaprysy pogody szybko przestają mieć znaczenie w obliczu niezwykłego klimatu niemal tysiącletniego, portowego miasta. – Bergen było pierwszą stolicą Norwegii, a nasza starówka jest wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO – mówi z dumą Linn. „Cóż, warszawska też” – myślę sobie bez emocji, ale gdy docieramy do Bryggen, z wrażenia odbiera mi mowę.

## Domki dla lalek

Wzdłuż nabrzeża stoi rząd wąskich, drewnianych domków z ostrymi, spadzistymi dachami. Wzrok już z daleka przykuwają przylegające do siebie ciasno kolorowe fasady, ale dopiero z bliska widać, jak są stare. Niektóre odchyliły się już od pionu, krzywe mają nawet drzwi i okna. Linn wyjaśnia, że rządząli tu przedstawiciele niemieckiej Ligi Hanzeatyckiej, która w średniowiecznym Bergen opanowała handel i przetwórstwo ryb. – Zaopatrywaliśmy w ryby i tran całą Europę – opowiada przewodniczka. Ale nie trzeba być ani znawcą historii średniowiecza, ani nawet miłośnikiem łososi, by zachwycić się tym miejscem. Zwłaszcza że w dawnych rybackich pomieszczeniach mieszczą się dziś sklepiki, restauracje i galerie, a na ślady przeszłości natrafiać można jedynie w Muzeum Hanzeatyckim.



Rosendal zachwyca spokojem i bajkowymi widokami. Z Bergen można się tu dostać w dwie godziny

Wąskie przejścia, balustrady, skrzypiące pod nogami deski, zapach drewna i dawne sprzęty rybackie zachwycają każdego, kogo w dzieciństwie fascynowały tajemnicze strychy, domki dla lalek lub targi staroci.

W ciągu dwugodzinnego spaceru po mieście Linn pokazuje mi też teatr Ibsena i zamek Bergenhaus. W jego szarych murach w XIII wieku rezydował, i z pewnością podziwiał stamtąd rewelacyjną panoramę miasta, król Håkon Hakonsson. Świetny widok rozciąga się też ze szczytu góry Fløien, na którą wzaledwie osiem minut można wjechać kolejką (stacja w samym centrum). Gdy żegnam się z Linn, jest już późne popołudnie, a ja wciąż jeszcze nie mam ochoty wracać do hotelu. Dopiero się rozkręcąm.

## Tropiąc łososia

Moja przewodniczka nie wiedziała, czy poza odbywającymi się w sezonie festiwalami można gdzieś w Bergen posłuchać wieczorem

muzyki na żywo, postanawiam więc na własną rękę odwiedzić przynajmniej te knajpki i puby (bo są ich w Bergen setki!), które mijaliśmy. Zaczynam od Corneli – eleganckiej restauracji z oknami wychodzącymi na port. Chcę sprawdzić, czy łosoś norweski w Norwegii smakuje inaczej niż w Polsce. Nic z tego – lada chwila zamykają. Zostaję na kawę i przez wielkie szyby oglądam zachód słońca (hura! Prze stało padać!). Przypominam sobie, że jeszcze w Polsce znajoma polecała mi restaurację rybną o nazwie Enhjørningen. Okazuje się, że mieści się ona w jednym z drewnianych domków Bryggen. Jestem już prawie na miejscu, gdy w pubie obok ktoś zaczyna grać na gitarze. Co mi tam ryba, skoro jest muzyka! Wchodzę, zamawiam lokalne piwo i pierwszy raz w życiu nie obchodzi mnie, że jestem sama w knajpie. Niedługo zresztą, bo za chwilę dosiada się do mnie grupa Norwegów. Pytają, skąd jestem i co robię w Bergen. – Dziękuję, to musisz koniecznie napisać, →

Marco Polo Travel®

PODRÓŻE Z WIDOKIEM NA MORZE

FIORDY  
NORWESKIE  
2011



COSTA LUMINOSA 8 dni

Kopenhaga – Flam – Hellesylt/Geiranger – Bergen – Stavanger – Oslo – Kopenhaga

Cena od 779,- EUR/os.



MSC POESIA 8 dni

Kilonia – Kopenhaga – Olden – Bergen – Kristiansand – Kilonia

Cena od 869,- EUR/os.



COSTA DELIZIOSA 12 dni

Amsterdam – Geiranger – Hellesylt – Honningsvåg – Tromsø – Leknes – Trondheim – Andalsnes – Bergen – Amsterdam

Cena od 1439,- EUR/os.

Marco Polo Travel Sp. z o.o.  
ul. Nowogrodzka 47A, Roma Office Center, 00-695 Warszawa  
tel. 022 622 00 82 (81)  
www.rejsy.pl ♦ www.marcopolo.com.pl

REJSY

NETMEDIA

WAKACYJNE ♦ DLA ZAKOCHANYCH ♦ SPA & WELLNESS ♦ LUKSUSOWE ♦ EKSPEDYCYJNE ♦ DLA SINGLI ♦ INCENTIVE

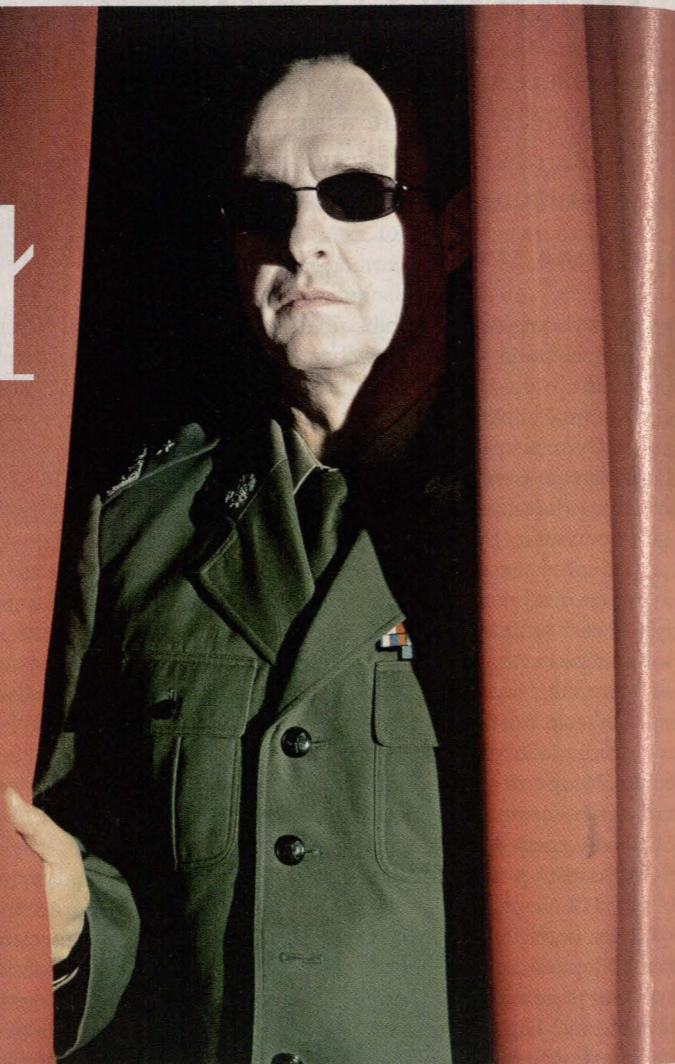




## Generał na deskach

Za mundurem panny sznurem? To już przeszłość. Polski teatr mierzy się z mitem wojska; w warszawskiej Imce wkrótce premiera „Generała”. Rzec o Wojciechu Jaruzelskim

ŁUKASZ DREWNIAK



Marek Kalita jako Generał (wiadomo który) w „swojej zielonej skórze gada”. Komunista, ale patriota

Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak wojskowy czy milicjant może być symbolem bezpieczeństwa. I że ktoś może być dumny z noszenia munduru. Moja generacja bała się munduru. Trauma po stanie wojennym? Lęk przed uniformizacją? Wykonywaniem sprzecznych z etyką poleceń? Roztopieniem się w masie? Przede wszystkim jednak nie lubiłem munduru, bo obrzydził mi go generał Wojciech Jaruzelski.

W sztuce Jarosława Jakubowskiego (druk w „Dialogu” w numerze 2/2011) już od pierwszej sceny na krawieckim manekinie wisi generalski mundur. Generał, ewidentnie przypominający Ja-

ruzelskiego, wierzy, że jego dom zamienił się w obłożoną twierdzę. Udając się na swój proces, chce wystąpić w mundurze – „jak przystało na przywódcę państwa i narodu”. Bo „jak mają pluć i rzygać swoją prawdą, niech robią to na mój mundur, ja i mój mundur to jedno”.

Mundur, który stale każe czyścić żonie, zakłada do obiadu wydanego dla córki i dawnych towarzyszy broni – Florianą i Czesławą. Jest jak gorset, spina rozpadającego się, pełnego wahań i wątpliwości człowieka. Mundur to idea i zarazem lepsza część tyrana, wspomnienie jego żołnierskiej chwały. Teraz zakrywa rozkład ciała, daje życie duchowemu

trupowi. „To moja skóra, zielona skóra gada” – wyznaje Generał.

### Bohater czy zbrodniarz?

Wzorem Thomasa Bernharda, autora granej teraz w Polsce sztuki „Przed odejściem w stan spoczynku”, Jakubowski chciał pokazać „zło na emeryturze”. Mundur symbolizuje przeklętą podwójność wszystkiego, co dotąd robił bohater. „Gdybym stanął po stronie Solidarności, byłbym prawdziwym bohaterem, ale prawdziwym zdrajcą” – wyznaje. Mundur to alibi dla kogoś, kto stale podkreśla, że „był komunistą, ale przede wszystkim był patriotą”.

Aleksandra Popławska, która reżyseruje warszawskie przedsta-

wienie (wspólnie z Markiem Kalitą), mówi: – Nie interesuje nas rekonstrukcja osobowości prawdziwego Jaruzelskiego, odtworzenie jego motywacji psychologicznych. Robimy krok w stronę uniwersalizacji bohatera, szukamy w nim typowych cech polityka i dyktatora, bo nie chcemy odnosić się do faktów znanych z konkretnej rzeczywistości.

Przedstawienie w Imce nie będzie więc ani publicystyczne, ani historyczne. Jego twórcy nie chcą oceniać i oskarżać. – W człowieku mieści się przecież tyle samo dobra co zła – tłumaczy Popławska. – Połowa Polaków mówi o Jaruzelskim jako bohaterze, a druga, że to był zbrodniarz.



„Chłopiec malowany”: bezwolna ofiara systemu czy wyszkolony najemnik?

Umundurowany Jaruzelski pojawia się na polskiej scenie po 1989 roku nie po raz pierwszy. W 2003 roku w „Balu pod Oriem” pokazał go – jako Senatora z „Dziadów” – Zbigniew Brzoza. Spektakl był taneczno-pantomimiczną opowieścią o PRL. Generał śnił swój straszny sen między różowymi poduchami, z których wydobywały się maski Breżniewa i Honeckera. Wielogłowego groteskowego potwora zadeptywał w końcu zbuntowany polski lud.

W spektaklu „Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego Jaruzelski znajdował się pośród innych niepochowanych trupów polskich, obok biskupa Paetza i Dady. Podkradzione Dostojewskiemu boboki za żadną cenę nie mogły przestać mówić. Grany przez Jerzego Gronowskiego generał wygłaszał logoreje o wojnie, patriotyzmie, dylematach żołnierza komunisty. Ze stałym arsenałem gestów-rekwizytów: z ręką na sercu, wyprostowanymi ramionami, ciemnymi okularami.

Spektakl Popławskiej i Kality ma być utrzymany w konwencji snu, realizatorzy poszli tropem sugestii autora, który w jednym z wywiadów powiedział, że taki Jaruzelski mu się przyśnił. Aleksandra Popławska: – Nasz bohater będzie przerysowany, bar-

dzo bliski postaciom z filmów Davida Lyncha. Nie jest obelśnym starcem z teatru Bernharda czy Becketta, ale Jaruzelskim w sile wieku, ikoną swoich czasów. Znajduje się między życiem a śmiercią, w Lynchowskiej czerwonej komnacie. W niekończącym się śnie-teatrze czeka na ostateczny wyrok sądu, który może jednak nigdy nie zapaść.

Kalita grający Generała nie nosi munduru jak postać w dramacie. – W naszym spektaklu mundur jest symbolem świętości i siły. Pojawi się dopiero w drugim akcie na tle czerwonych kotar, kiedy wzmacniamy atmosferę nierealności – zapowiada Popławska.

### Afgańcy i przebierańcy

W teatrze mundur nigdy nie jest neutralny znaczeniowo. Reprezentuje nie tyle jakąś armię, ile przypisane jej funkcje symboliczne. Niemiecki mundur SS albo czarny gestapowski uniform zawsze będą oznaczały zło absolutne i nieludzkie. Przyjdzie w nim śmierć nieuchronna i punktualna. Z kolei sowiecki mundur to zło swojskie, rubaszne, byle jakie i tępe. Mundur amerykański wprowadza rockandrollowy klimat, wizję wojny luzackiej, co nie znaczy, że mniej okrutnej. A co czujemy na widok polskiego munduru?

PRL-owski był upokorzeniem, ten przedwojenny – daremną tęsknotą podszytą podejrzaniem, że mit o ułanach skrywa jakieś brudne sprawy. Zwykle nosili go przebierańcy – rosyjski marszałek Rokossowski albo spike-rzy w stanie wojennym. Dziś jego połową wersję zakładają politycy podczas wizyt w bazach wojskowych. W „Ostatnim takim ojcu” Artura Pałygi i Łukasza Witka-Michałowskiego (Lublin, 2009 rok) noszą go ojcowie sadyści z wojskowego osiedla. Tacy, którzy biją żony, chleją na potęgę, tresują dzieci. Widzowie są otoczeni przez mundurowych – nie przypadkiem siedzą na ruchomych modułach przeciąganych przez szeregowców po teatralnej sali, jakby to były ciężarówki z rekrutami jeżdzące pierwszy raz po poligonie. W legnickiej „Operacji Dunaj” Roberta Urbańskiego i Jacka Głomba (2006) po scenie

jeździł polski czołg z czołgistami przebranymi za telewizyjnych pancernych. Podbój bratniej Czechosłowacji nie był chłopięcą przygodą, ale krachem marzeń, ukazaniem dwuznacznego wymiaru naszego bohaterstwa w zderzeniu z niebohaterskim krajem i niesłuszną sprawą.

Do tej rewizjonistycznej linii teatralnej nawiązuje „Chłopiec malowany” Piotra Rowickiego wyreżyserowany niedawno w poznańskim Teatrze Polskim przez Piotra Ratajczaka. – Gdy widzę żołnierza, od razu mam negatywne skojarzenia – mówi reżyser. – Z władzą, z systemem fałszywych, konwencjonalnych zachowań patriotyczno-patriarchalnych, przeciwko którym występuję.

Spektakl był reklamowany plakatem ze zdjęciem plastikowego żołnierzyka pochowanego w ziemi. Oto dwaj żołnierze →

REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci  
www.hospicjum.waw.pl

**Chciałbym wrócić do domu**

KRS: 0000097123

**1%**

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

→ przychodzą poinformować matkę, że jej syn zginął podczas misji w Afganistanie. Rutyna posłańców śmierci, psioczenie na rozkazy i nieczułość dowództwa. Odwlekanie przez matkę chwili, w której usłyszy to, co podejrzewa. Gotuje rosół, prasuje i czeka na syna. Nie chce wpuścić żołnierzy, bo dopóki ona nie wie, syn żyje. Ratajczak i Rowicki uciekają od realizmu. Żołnierze wyłamują drzwi i już jesteśmy w surrealnym piekle. Po pokoju przechadza się duch zabitego syna, który nie zginął od wybuchu miny, ale pijany wbił sobie w polskiej bazie nóż w tętnicę udową i wykrwawił się na śmierć. Nie był bohaterem, sprzedawał narkotyki towarzyszom broni. Ale i tak trafił po śmierci do ziemianki, w której siedzą jego dziadek i ojciec, też żołnierze.

Wszyscy polscy bojownicy ganiają się po lasach z dawnymi wrogami. Są tylko smród, głód i strach. – Zastanawialiśmy się, czy rzeczywiście musimy używać polskich mundurów, czy nie wystarczyłby jakikolwiek silnie zuniformalizowany kostium – mówi Ratajczak. W końcu mundury galowe jednak pojawiły się na scenie. Reżyser chciał odpowiedzieć sobie na pytanie, czy żołnierz to nieświadoma swych czynów ofiara systemu, czy raczej wyszkolony profesjonalista, polski najemnik, który jedzie na wojnę zarabiać pieniądze: – Jeśli to drugie, to dlaczego mam się przejmować losem najemnika? W spektaklu żołnierze i ich matki recytują wyuczone lekcje – o patriotyzmie i słodkiej śmierci za ojczyznę. O przeznaczeniu i heroizmie. Ze ścian patrzą twarze polityków ostatniego stulecia. Czy naprawdę wiemy, czym jest dzisiaj wojna sprawiedliwa?

Jako pierwsi problem polskich misji stabilizacyjnych podjęli w przedstawieniu „Padnij!” Paweł Demirski i Piotr Waligórski. Był rok 2004. W prawdziwym mieszkaniu w gdańskiej dzielnicy zainscenizowali stykę po śmierci



„Nangar Khel”: chór Afganek oskarża naszych chłopców komandosów

ci oficera zabitego w Iraku. W sąsiednim pokoju zamknięta trumna, mundury wiszą w szafie, a grupka wdów i żon marzy, żeby Polacy „stabilizowali” Łazurowe Wybrzeże. Ale zamiast południa Francji jest Afganistan. „Nangar Khel” Macieja Masztalskiego i wrocławskiej grupy Ad Spectatores (premiera we Wrocławiu dwa lata temu) był klasyczną dokudramą. Zestawiał ze sobą listy żołnierzy, którzy 16 sierpnia 2007 roku ostrzelali afgańską wioskę. Grupa aktorów przebrana na biało udawała telewizyjnych showmenów wcielających się w bohaterów tamtego zdarzenia – polityków, generałów, szeregowców, dziennikarzy. Materiały procesowe, zeznania, dyskusje telewizyjne i prasowe budowały niezwykle dramat Polaków zagubionych między wielką polityką światową a krajowymi rozgrywkami.

#### Bolek i Lolek w Afganistanie

– Może jesteśmy przygotowani militarnie na walkę w Afganistanie – mówi reżyser Łukasz Witt-Michałowski – ale kompletnie nie mamy pojęcia, co zrobić z psychologicznymi kosztami tej wojny.

Spektakl w jego reżyserii z tekstem Artura Pałygi, zrealizowany parę tygodni temu w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej, także nosi tytuł „Nangar Khel”. To zrazu nieco surrealna wizja tego, co by było, gdyby Bolek

i Lolek (bohaterowie filmów animowanych produkowanych w wytwórni filmowej w Bielsku) pojechali do Afganistanu. Albo założyli grupę rekonstrukcyjną, która bawi się w wojnę z talibami. Co ma paintball do prawdziwej walki i śmierci? Najpierw zjeżdżają z teatralnego sufitu uzbrojeni po zęby komandosi. Wybuch granat. Komandosi mierzą do nas z broni. Nikt jednak nie chce odgrywać roli talibów. Dlatego ich przeciwnikiem będzie chór Afganek w szatach zasłaniających całe ciało. Pomiędzy grupą żołnierzy a grupą kobiet widać otwarty, świeżo wykopany grób. I wtedy na scenę wychodzi uczestnik tamtych zdarzeń – chorąży Osiński, jeden z oskarżonych w procesie o śmierć sześciu cywili, w tym kobiet i dzieci w Nangar Khel. – Chorąży Osa przez długi czas bronił się, żeby nie wystąpić w mundurze na scenie, musiał dostać zgodę przełożonych – tłumaczy Witt-Michałowski. – Dla mnie był to tylko kostium teatralny, dla niego świętość. Michałowski nie miał poczucia, że szarga mundur. – Wydaje mi się, że ten mundur sam potrafi się zszargać, jak wtedy w Nangar Khel.

Sztuka umieszcza polską zbrodnię wojenną w kontekście wejścia Sowietów do Afganistanu w 1979 roku i odwrotu Anglików z Kabulu w połowie XIX wieku. Pokazuje, dlaczego mamy kłopot z tą wojną. Przecież nawet

stan wojenny nie zmienił pozytywnego nastawienia do munduru. Polacy wołali: „Wojsko z narodem!”. Żołnierz w mundurze wciąż budził pozytywne skojarzenia; w końcu to ten, który walczył „za wolność naszą i waszą”. Dopiero incydent afgański symbolicznie to zakończył. Witt-Michałowski: – Kiedy weszliśmy do Iraku, duch kolonialny żył w narodzie. Dostaliśmy śluzotoku – będzie ropa, będzie polska flaga nad pustynią! Potem pojawiło się rozgoryczenie – nawet Turcy dostali dwa szyby, a my nic, ani kontraktów, ani zysków. To po co nam ta wojna?

Chorąży Osa najpierw słucha żartów o rekonstrukcjach wojennych, potem patrzy na imitację afgańskich rytuałów ślubnych odgrywanych przez kobiety. W końcu wstaje i wygłasza wstrząsający monolog zakończony słowami: „To ja jestem bronią, z której wy strzelacie”. Zbrodniarz wojenny? Zdradzony bohater? Z widowni wychodzi prawdziwa Afganka, od lat mieszkająca w Polsce Safia Rabati. Prosi o modlitwę, śpiewa afgańską pieśń. A potem długo patrzy sobie z Osą w oczy. Nie wiem, czy jest w tym spojrzeniu wybaczenie.

Kim jest dziś polski żołnierz? Bojownikiem o wolność czy płatnym najemnikiem? Bezmyślnym tępem czy ofiarą systemu? Bohaterem – czy może już zbrodniarzem? Coś zmienia się w odczuciu społecznym; pewnie w innym przypadku teatr, który jak barometr reaguje na takie zmiany, nie wpuściłby tyle wojska na scenę.

– Początkowo społeczeństwo afgańskie zareagowało pozytywnie na nasze wojska, ale w tej chwili naszych mundurów boją się tak samo jak talibów – objaśnia Witt-Michałowski. Polski teatr przestał być dumny z munduru. Bo już wie, co on od zawsze przykrywał.



O spektaklu „General” opowiada reżyserka Aleksandra Popławska na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

# Lato w duecie

Wakacje spełnionych marzeń

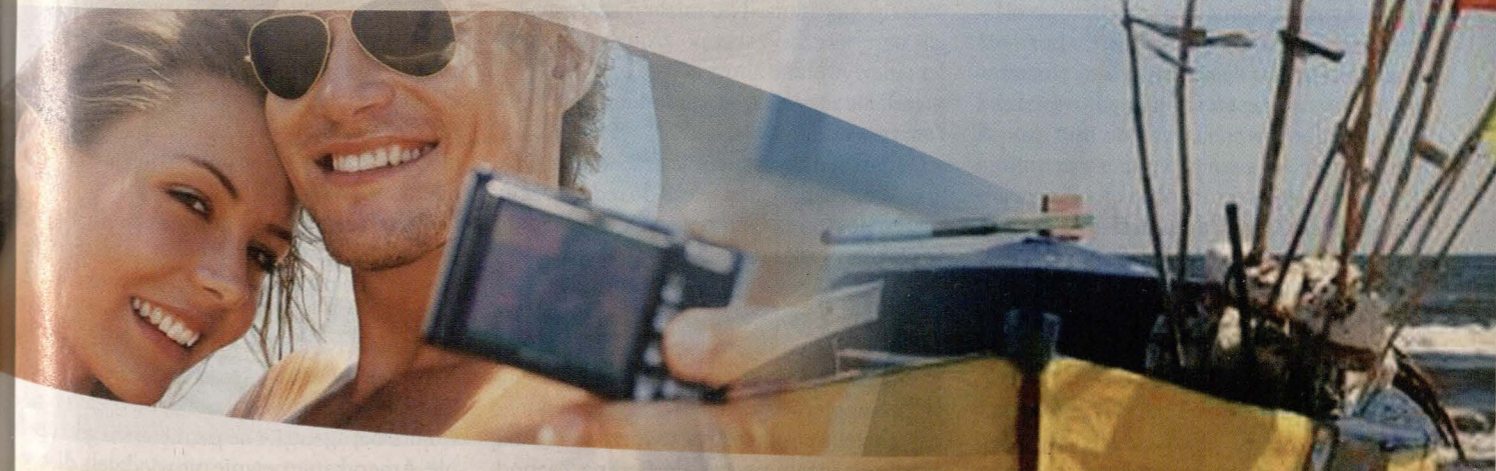
w Arka Medical SPA ★★★★★ w Kołobrzegu

oferta ważna od 18.06.2011 do 10.09.2011

Tęgo lata w Arka Medical SPA ★★★★★ wszystko będzie podwójne. Podwójna przyjemność w czasie romantycznego rejsu wzdłuż brzegu Bałtyku. Podwójna zabawa w kołobrzeskim parku linowym. Podwójna radość podczas imprezy w stadninie koni.

Jedynie, co nie jest podwójne to cena: 3 220,00 zł za 2 osoby za tydzień, która obejmuje ponadto:

- 7 noclegów,
- wyżywienie (śniadania, obiady i kolacje),
- zabiegi w Galerii SPA (kąpiel w białej glince lub jacuzzi solankowe),
- zwiedzanie i wejście na latarnie morską,
- program animacji przy basenie zewnętrznym,
- seanse filmowe w sali kinowo - teatralnej,
- dancingi, wieczorki taneczne, karaoke,
- baseny z wodą morską,
- strefa saun (sauna sucha i parowa),
- słoneczna łączka tj. opalizujące solarium w strefie relaksu,
- sale fitness.



Rezerwacje: tel. 094 353 21 00

094 353 21 81, 86 lub 87

e-mail: [rezerwacje@arka-mega.pl](mailto:rezerwacje@arka-mega.pl)

[www.arka-mega.pl](http://www.arka-mega.pl)



# Komunizm: temat idealny



ROZMAWIA  
JACEK TOMCZUK

**CHRIS NIEDENTHAL**, najślynniejszy kronikarz Polski lat 80., o tym, jak trudno sfotografować ludzi w kolejce, pożegnać się z komunizmem oraz dlaczego nie chce mu się już robić zdjęć. Właśnie ukazała się jego książka „Zawód: fotograf”

**Podobno nie widział pan większości swoich zdjęć?**

– Prawie 20 lat pracowałem dla najważniejszych tygodników świata: „Newsweeka”, „Time’a” czy „Spiegła”. Ich standardy były jasne – dajemy prestiż, solidnie płacimy, ale pierwsi oglądaliśmy zdjęcia, które dla nas zrobiłeś. Pisma wychodziły w poniedziałek, więc materiały musiały dotrzeć do nich do piątkowego popołudnia. Nie miałem szans nawet ich przejrzeć, bo zaraz po zrobieniu wysyłałem niewywołane filmy do redakcji.

**Przesłanie zdjęć do Nowego Jorku w latach 70. i 80. to było wyzwanie.**

– Co tydzień wysyłałem je frachtem z Okęcia. Potem nadawałem teleks do redakcji z numerem lotu oraz listu przewozowego, a ktoś w Nowym Jorku je odbierał. Kłopoty zaczęły się w stanie wojennym. Wtedy w ogóle nie można było robić zdjęć, a co dopiero oficjalnie je wysyłać. Wiedziałem, że na samoloty nie mam co liczyć, bo na początku nie latały. Już w pierwszy wtorek stanu wojennego pojechałem z rolkami na Dworzec Gdański, skąd odjeżdżały pociągi do Berlina Zachodniego. Chodziłem po przedziałach, patrzyłem na ludzi i zastanawiałem się, komu mogę zaufać, kto zechce zabrać ode mnie taką przesyłkę. Trafiłem na młodego Niemca, który wracał do domu. Po dotarciu do Niemiec Zachodnich zrobił dokładnie to, o co go poprosiłem: za-

dzwonił do biura „Newsweeka” w Bonn, a oni wysłali kuriera na motorze przez całe Niemcy, żeby odebrał filmy, i wysłali je samolotem do Nowego Jorku. W poniedziałek zdjęcia były już w gazecie. Zachował się bardzo przyzwoicie, bo przecież mógł wywołać moje filmy i sprzedać jako swoje. Takie rzeczy się zdarzały. **Robił pan zdjęcia, pakował filmy i nie ciekawiło pana, co wyszło?**

– I tak, i nie. Byłem już przyzwyczajony do tego systemu, ale oczywiście byłoby lepiej, gdybym widział, co zrobiłem. Owszem, czekałem na informacje z redakcji – czy prześwietlam, czy nie, pudłuję czy trafiam, jest ostrość czy jej nie ma... Ale skoro nie było takich uwag, to robiłem swoje.

**I tak naprawdę dopiero teraz je pan ogląda?**

– No tak, na przykład to zdjęcie: kobieta kłęczy ze sznurem papieru toaletowego niczym z różańcem. To było dzień po zamachu na papieża, 14 maja 1981 roku. Kobieta modliła się pod kościołem w Wadowicach w intencji zdrowia Karola Wojtyły. Ono przez 30 lat leżało w nowojorskiej agencji. Nie pamiętałem go zupełnie. Amerykanie pewnie nie wiedzieli, dlatego ma ten papier i dlaczego kłęczy. A dla mnie, dla Polaków, to PRL w pigułce: silna wiara połączone z brakami w sklepach.

Mam prawdopodobnie około 500 tysięcy takich slajdów i postanowiłem je uporządkować. W pewnym sensie będą moją przy-



„Dlaczego przyjeżdżałem tu na wakacje? Fajniej było być młodym londyńczykiem w Warszawie niż Anglikiem polskiego pochodzenia w Londynie.

CHRIS NIEDENTHAL

szłą emeryturą. Jeśli dobrze idzie, skanuję 20-30 slajdów dziennie, ale to kropla w morzu. Najbardziej czasochłonne jest opisywanie tych zdjęć. Oczywiście każdy fotoreporter mówi, że pamięta wszystkie swoje klatki. Ale to nieprawda. Może po 10 latach pracy jeszcze tak – ale po 30, gdy dziennie robisz 10 filmów, już nie ma szans.

**Jak pan się znalazł w Polsce?**

– Moi rodzice byli emigrantami wojennymi. Ojciec, lwowianin, był prokuratorem w Wilnie, mama – stenotypistką w Polskiej Agencji Telegraficznej. Spotkali się w Londynie już po wojnie. W domu mówiło się po polsku, kiedy poszedłem do szkoły w wieku pięciu lat, miałem jeszcze kłopoty z angielskim. W soboty, gdy moi angielscy koledzy mieli wolne, chodziłem do polskiej szkoły: historia, geografia, piosenki... 18 lat po wojnie rodzice postanowili, że razem odwiedzimy kraj. Ojciec przed 1939 rokiem wsadzał komunistów do więzienia, bał się, czy teraz go nie aresztują. Z tego pierwszego pobytu niewiele pamiętam. Ale na tyle mi się spodobało, że następnym razem pojechałem już sam. Rodzice wsadzili mnie w Londynie do pociągu, a ktoś z polskiej rodziny odebrał w Warszawie. Jako nastolatek co roku jeździłem na całe wakacje do Polski.

**Po co? Dlaczego nie wystarczyło panu Londyn, Anglia, festiwale muzyczne, hipisi, autostop?**

– Wtedy w Londynie rządzący modni na swych lśniących skuterach, potem hipisi. Ja dorastałem pomiędzy jednym a drugim, na modśows byłem za młody, na hipisów trochę za stary.

**Nie brzmi to wiarygodnie.**

– No dobrze, może byłem grzecznym dzieckiem rodziców, zbierałem znaczki, chodziłem wcześniej spać i na dodatek pasjonowałem się bardziej fotografią niż życiem towarzyskim. A poza tym przebywałem w środowisku polonijnym, a ono nie było aż tak zwariowane, ciekawe, jak to rodowitych Anglików. Wśród Anglików czułem się jednak zawsze niedopasowany, trochę obco.

**Dawali panu odczuć, że jest pan Polakiem?**

– Nikt nie musiał o tym wiedzieć, nazywam się z niemiecka Niedenthal, na imię mam Christopher, mówiłem po angielsku, urodziłem się w Londynie. Ale zaznaczałem od razu, że jestem Polakiem, trochę na złość. Poza tym życie towarzyskie toczyło się głównie w domach i na dyskotekach – klubów, kawiarni i przyjaciół miało się raczej we własnej dzielnicy. Londyn był i nadal jest wielkim miastem. Jeśli miałeś kolegę we wschodnim Londynie, a mieszkaleś na zachodzie, w Ealing, →





# Piekielne bramy raju

Co dzień nowe łodzie z uchodźcami z Afryki Północnej, co dzień mniej cierpliwości rdzennych mieszkańców. Lampedusa, niewielka wyspa na Morzu Śródziemnym, tonie pod naporem imigrantów

JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT

**W** niedzielny poranek zapalił się kościół. Było tak: parafia na Lampedusie przygarnęła 36 nastolatków z Tunezji. Rewolucja dała im wolność, ale zabrała pracę. Po zamknięciu hoteli na tunezyjskich plażach chłopcy wsiedli do łodzi i popłynęli w stronę Europy. Lampedusa miała być pierwszym przystankiem w drodze na kontynent. Przez wyspę przewinęło się od stycznia aż 15 tysięcy takich jak oni. Wszyscy z jednym marzeniem: ruszyć dalej.

W niedzielę 3 kwietnia włoski prom zabrał dalej dużą grupę imigrantów. 20 chłopców z parafii popłynęło, 16 musiało zostać – w bezsilnej wściekłości. Zdemolowali więc kościół i podłożyli ogień. Na wyspie zrobiło się gorąco.

## Koczowisko

Aby zrozumieć, co się dzieje na Lampedusie, musisz użyć wyobraźni. Będzie ci łatwiej, jeśli mieszkasz w warszawskiej dzielnicy Włochy lub na krakowskim Podgórzcu. Albo w Helu, na samym krańcu półwyspu. Mają one mniej więcej taką samą powierzchnię jak Lampedusa: około 25 kilometrów kwadratowych. Wy-

obraźni pomoże też, jeśli mieszkasz w Sejnach na Suwalszczyźnie. Lampedusa ma tyle samo rdzennych mieszkańców – około sześciu tysięcy. Teraz pomyśl, że pod twój dom codziennie, co noc, przyplływają ludzie. Dużo ludzi. Są młodzi: przeważnie w wieku 23–35 lat. Są biedni: wszystko, co mieli, zostawili za sobą. Zdesperowani: przybyli pod twój dom z narażeniem życia, za ostatnie uciulane przez rodzinę pieniądze. Większość to mężczyźni. Jednego dnia przyplwają ich kilkudziesięciu. Drugiego – stu. Ani się obejrzyysz, a jest ich już tyłu co twoich sąsiadów. Śpią na gołej ziemi przykryci kawałkami plastiku. Załatwiają się, gdzie popadnie. Wałęsają bez celu po miasteczku lub siedzą w porcie. Czują się uwięzieni. Widzisz, jak okolice twojego domu zmieniają się w koczowisko. Jesteście na siebie skazani.

## Z kurortu slumsy

Wyobraź sobie, że twoje miejsce zamieszkania przez dekady kojarzyło się głównie z księciem Giuseppe Tomasi di Lampedusą. Był on również autorem powieści „Lampart” – o tym, jak szlachetny ród stacza się w przepaść. →



for. Antonello Nussa/Polaris/East News

Tylko od stycznia na wyspę przybyło 15 tysięcy emigrantów z Afryki. Miejsca w domach dla uchodźców już dawno się skończyły. Zostały plaże



Fot. Antonello Nusca/Polaris/East News

Jeszcze niedawno nadmorskie deptaki przyciągały turystów z całego świata, dziś sztuczne ognie zostały zastąpione przez prawdziwe ogniska

→ Po ukazaniu idylli następuje opis powolnego upadku, w finale pałac popada w ruinę. Wyspa Lampedusa też upada. Jeszcze dekadę temu wyglądała mniej więcej tak: piaszczyste plaże na południu, malownicze klify na północy, laguny i dokoła turkusowe morze, w którym skakały delfiny. Mieszkańcy utrzymywali się głównie z rybołówstwa i turystyki. Potem zaczęli przyplывать imigranci. To, co dziś się dzieje na wyspie, nie wynika jedynie z masowego exodusu z targanych rewolucjami krajów Afryki Północnej. Genezą tych wydarzeń jest położenie Lampedusy. Nawet geologicznie stanowi ona część Afryki, nie Europy. Od plaż Tunezji dzieli ją zaledwie 113 kilometrów. Od brzegów Libii - 300. Przy dobrych wiatrach można przyplывать stamtąd w dwa do trzech dni. Nawet mało sterowną łodzią.

Afrykanie przyplывali więc coraz częściej. Jeszcze na początku XXI wieku głównymi wrotami Europy były Gibraltar i Wyspy Kanaryjskie. Na prośbę Hiszpanii Maroko zaostrzyło jednak walkę z przemytnikami ludzi, a Unia Europejska rzuciła na wody Atlantyku główne siły straży granicznej, Fronteksu. W efekcie liczba imigrantów szturmujących granice Unii przez Hiszpanię spadła w 2007 roku prawie o połowę - a przemyt przeniósł się do innych krajów. Francja leży za daleko na północy, południową bramą Europy stały się więc Włochy. Co 10. szturmujący tę bramę przyplывa na Pantellerię, Sycylię lub Sardynię. Pozostałe 90 procent ląduje na Lampedusie.

**Tłoczenie ludzi**

Sytuacja stała się dramatyczna już dwa lata temu. Działające na wyspie centrum dla imi-

grantów pękało w szwach. Zbudowano je dla 850 osób, tymczasem Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców alarmował, że tłoczą się tam dwa tysiące. Aby zatrzymać falę imigracji, Rzym wysyłał policyjne jednostki antymafijne. Było to działanie o tyle chybotane, że według badaczy problemu ani sycylijskie, ani kalabryjskie rodziny nie mają z tym nic wspólnego. Choć szmuglowanie ludzi na Lampedusę to lukratywny biznes (w 2006 roku przyniósł przemytnikom w rękach drobnych, niepowiązanych ze sobą grup przestępczych z północnej Afryki. Małe „firmy” przemytnicze działają na zasadzie krótkoterminowych umów, nie tworzą struktur, tylko gęstą sieć. Macki tych minigangów kończą się na brzegach wyspy. Włoska policja jest bezsilna.



Wśród przyjeżdżających dominują mężczyźni w wieku 25-35 lat



„Dość. Nie ma już miejsca” - piszą mieszkańcy do władz i emigrantów

Fot. Antonello Nusca/Polaris/East News



Prom Excelsior wywozi emigrantów z przepelnionej Lampedusy w głąb Włoch, 30.03.2011



Złomowisko dla statków, którymi przyplывają Afrykanie

Fot. Stefano Rellandini/Reuters/Forum

Rzymowi pozostało inne rozwiązanie - naciskać na kraje północnej Afryki, aby z pomocą Maroka uszczelnili granice. Skora do współpracy okazała się Tunezja. Jej rząd już w 2004 roku wprowadził prawo nakładające karę do 20 lat więzienia za próbę nielegalnej imigracji. Kazał restrykcyjnie nadzorować system wydawania pozwoleń na zakup łodzi i kontrolować wybrzeża. Główny nurt przemytu przeniósł się więc do Libii. Naciski na Kaddafiego? Wyobraź sobie, że masz premiera, który nie tylko zaprasza dyktatora do Rzymu (pierwszy raz dwa lata temu), ale też pozwala mu rozbić namiot beduiński w ogrodach XVII-wiecznej Villi Pamphili i sam dla towarzystwa spędza noc w tej rezydencji. Możesz przy tej okazji wyobrazić sobie szereg innych mniej lub bardziej upokarzających Rzym gestów (impieza na cześć Muam-

mara z tysiącem Włosek z najwyższych sfer) lub po prostu przyjąć do wiadomości, że około jednej trzeciej gazu ziemnego i jednej czwartej ropy sprowadzanych do Włoch pochodzi z Libii. Za Kaddafiego przemyt ludzi na Lampedusę miał się więc dobrze. Jeśli powstanie przeciw jego rządowi, przemyt może urosnąć w siłę. Na razie większość wiosennej fali imigrantów to szukający pracy Tunezyjczycy, ale analitycy już uprzedzają, że można spodziewać się kolejnej, bardziej dramatycznej fali - libijskich uchodźców politycznych.

**Wyspa albo śmierć**

Wyobraź sobie, że całe życie nie musiałeś zamknąć domu na klucz i zostawiać otwarty samochód. Tak robili mieszkańcy Lampedusy. W lokalnej społeczności wszyscy znali się

przynajmniej z widzenia. Teraz opowiadają korespondentom zagranicznych gazet, że muszą pilnować dobytku i boją się o żony. Ktoś napisał niebieskimi literami na kiosku w porcie: „Dość! Wyspa jest przepelniona!” Zdesperowani mieszkańcy próbują samodzielnie powstrzymać łodzie. Pod koniec marca grupa stu osób przez kilka godzin odpychała łódź wiozącą 113 imigrantów. Afrykanie w końcu zacumowali. Alternatywą dla nich prawdopodobnie byłaby śmierć. Jeszcze zanim zaczął się napór związany z rewolucjami, w drodze na Lampedusę tonęło kilkaset osób rocznie. Co więc robić? Silvio Berlusconi obiecuje, że imigrantów wywiezie, a specjalne promy kursują w tę i z powrotem. I mieszkańcy, i przybysze mogą już tylko na to czekać. Z Afryki przyplывają nowe łodzie.

MUZYKA

Tu nie będzie rewolucji

**U** dziennikarzy ta płyta miała przechłapanie już na starcie. Gdyby The Strokes nagrali czwarty gitarowy album, posypałyby się zarzuty o odgrzewanie kotletów. To może uciechka w elektroniczne eksperymenty? Też źle – jakże to tak porzucić gitarową zadziorność i stanąć w jednym szeregu ze sprzedawcami indie-rockowego etosu? Nowojorczyki postanowili więc chwycić się obu dekok ratunku.

To ci sami The Strokes, których świat pokochał 10 lat temu. Starsi, bardziej osłuchani, wciąż przebojowi. Ich pierwszy po czteroletniej przerwie krążek trwa ponad 30 minut. Oni nie muszą już niczego udowadniać. Nawet jeśli wszczęta przez nich rockowa rewolucja okazała się kilkusezonową blahostką, mogą tańczyć nad jej truchłem z uśmiechem. Udało się im zapoczątkować i zakończyć tę modę z klasą.

JACEK SOBECZYŃSKI



\*\*\*\*  
The Strokes  
„Angles”  
RCA/Sony

Melancholijne przypadłości

**T** wilite tworzy dwóch muzyków, obaj grają na sześcioprętych akustykach. Muszą więc nadrobić głowę, skoro mają ambicję chronić słuchacza przed „niedosytem instrumentalnym”. Z tym wyzwaniem Paweł Milewski i Rafał Bawirsz jak dotąd radzili sobie świetnie w duecie. Na „Quiet Giant” wspomagają ich jednak także Maciej Fortuna (trąbka), Piotr Melech (klarnet), sopranistka Anna Farysej i szwedzka piosenkarka Billie Lindahl.

Rozczarują się ci, którzy chcieliby widzieć w nich polskich Simona i Garfunkela. Milewski i Bawirsz mimo skromnego instrumentarium ciągną raczej ku brzmieniu orkiestrowym. Wydane w 2008 roku „Bits & Pieces” nagrali ponoć „przypadkowo i w ciągu zaledwie kilku dni”. „Quiet Giant” wypada więc traktować jako debiut Twilite. Jeden z najdojrzalszych w ostatnich latach.

MARIUSZ HERMA



\*\*\*\*  
Twilite  
„Quiet Giant”  
Ampersand

James 2.0

Drżycie, panie. Nadchodzi Jamie Woon, męski debiut roku

BARTEK WINCZEWSKI

**G** dzie ci mężczyźni? – pytamy już od lat, obserwując, jak co sezon na rynek tuzinami wchodzi kolejne Adele, Rihanny i GaGi. Mocnych męskich debiutów brak. Gdzie więc charakterni, utalentowani soliści, zdolni przeciwstawić się kobiecej dominacji w muzyce? Są. Nieśmiało wprawdzie, ale wychodzą z ukrycia. Jako pierwszy: James Blake. Tyle że to bardziej producent wizjoner niż pełnokrwisty wokalista, więc jedynie przetań szlaki, rolę gwiazd będą pełnić inni. Na przykład Jamie Woon.

Ten 28-letni londyńczyk dał o sobie znać już w 2007 roku, ale wówczas skończyło się tylko na singlu, kapitalnym skądinąd wykonaniu klasycznej folkowej pieśni „Wayfaring Stranger”. Bardziej doświadczony Woon debiutuje dojrzałe i bez słabych punktów.



Jamie Woon ma proste przesłanie: pozbawić słuchacza lęku. Przebojowo

to your Love”, ale jako całość jego debiut okazał się: a) zbyt wymagający, b) za mało piosenkowy, c) nudny? Niezależnie od tego, którą odpowiedź wybierze, Woon na pewno was nie zawiedzie.



\*\*\*\*  
Jamie Woon  
„Mirrorwriting”  
Polydor  
(premiera 18.04)

Polski Rock Light

Wspomnienia, również muzyczne, z późnego PRL kontra indierockowe nawyki

**P** rzez długie lata wśród polskich rockmanów – prawdziwych twardzieli, którzy gołą się toporem i do trzeciej szklanki nie zakąszają – największą obelgą był przymiotnik „harcerski”. Nerwowe Wakacje, czyli nowy projekt Jacka Szabrańskiego, gitarzysty The Car Is on Fire, jest harcowski z założenia.

Akustyczne gitary, niemieckie chórki wyciągane w ładnych refrenach, proste teksty o trudnych sprawach. Wrażliwość i nostalgia – jak na emanujących cudnym, niedzisiejszym światłem zdjęciach z okładki. Jest dobrze, ale byłoby

jeszcze lepiej, gdyby Szabrański pozwolił chociaż część piosenek zaśpiewać komuś innemu – jego lekko nosowa maniera i monotonna interpretacja osłabiają komercyjny potencjał płyty.

A te utwory przecież najwyraźniej pisane były z myślą o Liście Przebojów Trójki. I wywiadzie dla „Świata Młodych”.

JAREK SZUBRYCHT



\*\*\*\*  
Nerwowe Wakacje  
„Polish Rock”  
Wytwórnia Krajowa

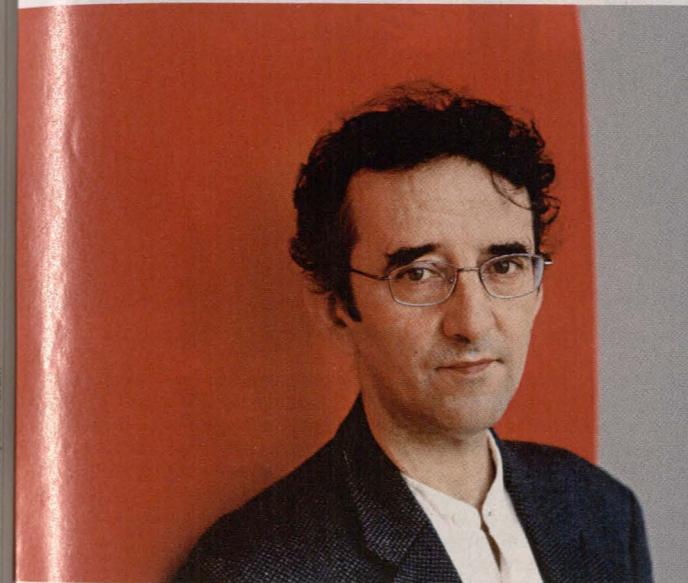


RECENZJE  
KSIĄŻKI

Auxilio, co lirykę kochała

„Amulet” – świetna minipowieść Roberta Bolaño

MARTA MIZURO



W „Amulecie” Bolaño rozwija jeden z wątków „Dzikich detektywów”

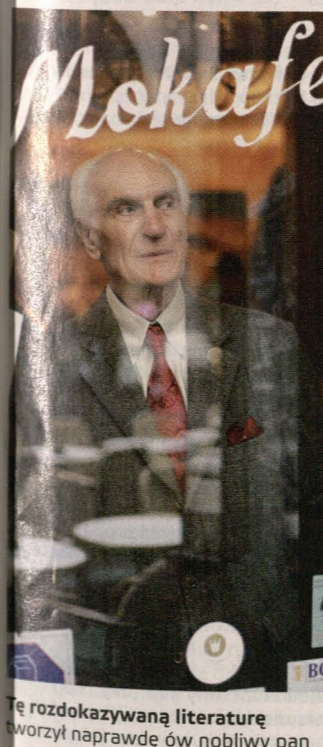
**A** uxilio Lacouture to postać, która pojawiła się już w najgłośniejszej powieści Bolaño – „Dzikich detektywach”. Nie zapamiętałam jej z imienia i nazwiska, bo znaczna część tamtej książki składała się z monologów kilkudziesięciu osób, ale poruszającej opowieści Auxilio nie zapomniłam. Przypomnę więc, że Lacouture była świadkiem zajęcia przez wojsko uniwersytetu i pacyfikacji studentów w Mexico City w roku 1968. Podczas dramatycznych wydarzeń kobieta ukryła się w toalecie, gdzie umierając ze strachu i z głodu, tkwiła przez 20 dni.

W „Amulecie” pisarz wraca do jej historii, by wyjaśnić, kim Auxilio właściwie była, oraz by opowiedzieć, jak odreagowała traumatyczne doświadczenie. To właściwie cała treść tej krótkiej powieści, zdradzę więc tylko, że narratorka „Amuletu” pochodzi z Urugwaju i choć sama uważa się za matkę meksykańskiej poezji, jest raczej kimś w rodzaju podstarzałej grupy. Nie podkochuje się jed-

nak w żadnym z młodych geniuszy, lecz cała żyje liryką i dla niej. 20 dni koszmaru, które wciąż przywołuje, zestawione z niedolą emigrantki nabiera nowego, symbolicznego wymiaru – wyznacza dno, blisko którego Auxilio przebywa. A jednak choć Lacouture nie bez powodów nazywa swoją historię opowieścią grozy, rzadko uderza w tragiczny ton. Często za to jej monolog układa się we wspaniałe poematy. Kto nie miał dość samozaparcia, by sięgnąć po obszernych „Dzikich detektywów”, niech spróbuje zacząć znajomość z Bolaño od tej prozatorskiej miniatury. To wystarczy, by zrozumieć, o co chodzi z peanami na cześć tego autora.



\*\*\*\*  
Roberto Bolaño  
„Amulet”,  
przeł. Tomasz Pindel,  
Muza, Warszawa 2011,  
s. 128, 19,99 zł



Sarmata w Brukseli

Wierny sługa literatury albo pożegnanie Pankowskiego

**P** arę tygodni pałętała się ta niewielka książka po moim biurku, ciągle nieprzeczytana, a tu nagle wiadomość: Pankowski nie żyje. Okazuje się, że miał już 92 lata. Wszyscy teraz mówią: umarł wielki, a tak mało znany pisarz, dopiero w ostatnich latach odkrywany i doceniany, nominacja do Nike i tak dalej. No, nie wiem, ale kto chciał, mógł do książek Pankowskiego bez większego trudu dotrzeć. Fakt, mieszkał od czasów wojny w Belgii, ale był emigrantem nietypowym – uważał się za Polaka mieszkającego za granicą i tyle. Przyjeżdżał do Polski, wydawano tu jego książki, nie wszystkie i z pewnymi oporami, ale jednak. Był, jak to się mówi, opętany polszczyzną. Zwłaszcza tą sarmacką, żywiołową, plebejską, nadużywającą wykrzykników, zadziwioną własnym bogactwem i barwnością. To on, a nie Gombrowicz, mógłby napisać „Trans-Atlantyk”, arcydzieło gier z sarmatyzmem.

Ale napisał inną powieść – nie mniejszego formatu – „Matuga idzie”, dorównującą „Trans-Atlantykowi” szaleństwem języka.

Najbardziej się bano jego dramatów: obrazoburczych, szyderczych i rozerotygowanych. Drwił z mitologii bogoojczyźnianej, romantycznych uniesień i patosu polskiej historii. „Teatrowanie nad świętym barszczem” jest nadal najkrwawszą i najdowcipniejszą polską groteską sęcienną wymierzoną przeciw nadętej martyrologii obozowej, ostrzejszą od opowiadań Borowskiego. Jeśli się nie myle, do dziś żaden teatr nie odważył się jej wystawić. Za wydrukowanie „Śmierci białej pończochy”, sztuki wydrwiwiającej małżeństwo królowej Jadwigi, miesięcznik „Dialog” miał swego czasu znaczne nieprzyjemności.

W ostatnich latach, wreszcie dopieszczony przez ojczyznę, a konkretnie przez krakowską oficynę Ha!art,

wydawał Pankowski rok w rok po niewielkiej książeczce. Ostatnia, „Tratwa nas czeka”, zamyka tę serię – chyba już na zawsze. Dziwne te dziełka są i już nie takie ekscytujące jak poprzednie powieści z „Matugą”, „Granatowym goździkiem” i „Rudolfem” na czele. „Tratwa...” to składanka prozatorskich kamyków, mozaika opowiadań i anegdotek, w których zwane wywijanie językiem zbyt często przykrywa blahość treści; przeczytać można, ale długo pamięci się nie trzyma. Był wiernym sługą literatury, chciał pisać do końca i nie zdrzyknąłby się, gdyby umarł w połowie zdania.

TADEUSZ NYCZEK

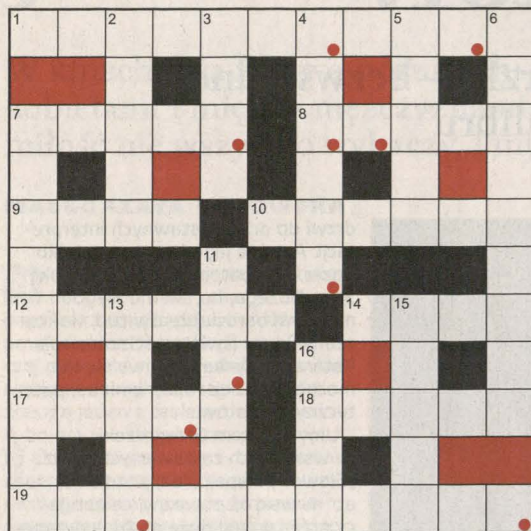


\*\*\*\*  
Marian Pankowski  
„Tratwa nas czeka”,  
Korporacja Ha!art,  
Kraków 2010,  
s. 72, 24 zł



## KRZYŻÓWKA NR 15

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



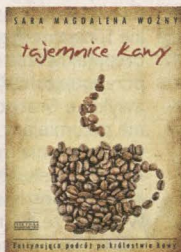
### POZIOMO:

1. CHODZI O TO, ŻEBY SPRZEDAĆ
7. SIEDZI W KĄCIKU
8. MUS CZOKOLADOWY
9. PUSTA W PRZEKROJU
10. MISTRZ UKŁADANIA KOSTKI
12. MIEJSCE NA PILOTA
14. KOŃCZY OPERACJĘ
17. PRZECIWNIK MAŁYSZA
18. PRANIE RĘCZNE
19. BARDZO ZASADNICZA

### PIONOWO:

2. POLUJE NA PODPUŁKOWNIKA
3. WYCHODZI Z UŻYCIA
4. SYN KAROLINY
5. DO LINA LINA
6. POLSKA NA GŁOWIE
7. NIE POZWALAŁ URZĘDNIKOWI SIĘ POPISAĆ
11. KONICZYN
13. ZNOSIMY JEJO IAJA
15. DŹIKI KRÓL
16. WYSTĘPUJE NA PNIU

Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ. HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 15”.



Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Tajemnice kawy” Sary Magdaleny Woźny (Zyski i S-ka Wydawnictwo)

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 17 kwietnia 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

## ROZWIĄZANIA Z NR. 13

### Krzyżówka: NAWIEDZENI

**Poziomo:** 1. CHALUPA W CHALUPACH LUB OBORA W OBORACH – ZABUDOWANIE 7. NIE MA WOLNOŚCI POZA CHINAMI – PANDA 8. MAJTEK W CZASIE SZTORMU – ŁOPOT 9. JEDNO Z 10 – ZERO 10. PROŚTO DO KROWY – POWRÓZ 12. Z KALENDARZA SB – SOBOTA 14. ZAPŁADNIA KOBIECI I MĘŻCZYZN – IDEA 17. PRZY LUDZIE – ULUDA 18. WYKORZYSTYWANY W PRZEM. – KRZEM 19. CZASEM SIĘ NIE ZGADZA – ANACHRONIZM

**Pionowo:** 2. PŁACHTA NA JELENIA – BANER 3. NA SŁODKO I NA ZIMNO – DRAŃ 4. OBIĄK – WALKON 5. PITY NA ZDROWIE – NAPAR 6. ZESPÓŁ HIP HIPOWY – ENTUZJAZM 7. DOBRZECZYNNOŚĆ – PRZYSLUGA 11. DAJE BANIE – STRACH 13. O CZERWONYM KAPTURKU – BLUZA 15. HASŁO Z KLUCZEM – DRWI 16. GDY CHCESZ DOBRZE WYGLĄDAĆ – OKNO

### LAUREACI Z NR. 12

**Krzyżówka:**  
Zofia Boszkiewicz, Czepin;  
Dariusz Cisek, Wałbrzych; Bożena Gaziuk-Dąbrowska, Piaseczno;  
Antoni Heger, Wrocław;  
Jacek Stychno, Sosnowiec

**Jolka:**  
Janusz Kochanowski, Białystok;  
Wiesław Koper, Wory; Izabela Kowalska-Wieczorek, Toruń;  
Małgorzata Majchrzyk-Traler, Wrocław; Mieczysława Nowak, Świebodzin

## JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

### Kura w rosole dobrze nastroi na święta

W ostatnich dniach poleciałem do Londynu. Chciałem popać przed świętami Wielkiej Nocy na moją londyńską restaurację Gessler at Daquise. Rozmawiałem z gośćmi, słuchałem opowieści kucharzy, menedżerów, jadłem. Cudowny jest obraz Polski w Anglii, który maluje mi się po tej wizycie. Wszystkie produkty, których używam tam w kuchni, pochodzą z kurpiowskich ekologicznych gospodarstw. Anglicy uwielbiają nasze jedzenie. Słuchałem w restauracji, co zamawiają. Najczęściej była to... kura w rosole. To jedzenie na każdą porę roku. A najlepiej chyba smakuje w tym przedświątecznym czasie. Teraz jemy kurę, a za chwilę będziemy jeść jajka...



### RECEPTURA

Kurę – 600-gramową – należy opłukać, oczyścić i wrzucić do wrzącego, wytrawnego rosolu. Gotujemy około 40 minut, po czym dzielimy na dwie części. Wkładamy do glinianego naczynia (lub garnka), dodajemy dwa pęczki włoszczyzny, liść laurowy, 15 ziarenek pieprzu, ziele angielskie, doprawiamy do smaku. Tak przygotowaną wkładamy do piekarnika (rozgrzanego do temperatury 170 stopni Celsjusza) i pieczemy 30-40 minut.

Pod koniec dodajemy 100 gramów selera naciowego i natkę pietruszki (dwie całe gałązki). Pieczemy jeszcze 3-5 minut. Kurę podajemy z warzywami z rosolu, kluskami kładzionymi oraz polewamy sosem cytrynowym. Jak go uzyskać? Śmietanę 36-procentową (200 mililitrów) łączymy z sokiem z dwóch cytryn oraz ze 100 gramami rosolu z kury. Wszystkie składniki redukujemy do objętości 30 procent. Doprawiamy pieprzem i solą do smaku oraz zagęszczamy trzema żółtkami. Dzisiejsze danie jest po trosze odpowiedzią na pytanie mojego wnuka Franciszka – co było pierwsze: jajko czy kura? Franciszek jest smaczkiem. Po powrocie z Londynu zabiorę go z przedszkola i pójdziemy razem ugotować to danie. Naturalnie najpierw wybierzemy się na targ po najlepszą kurę i cudowne pęczki włoszczyzny.

Program „Wściekle gary” Adama Gesslera oglądajcie w soboty o 14.10 w TVP Polonia

## BRACIA M

BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ  
WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER



KAMUFLAŻ ZADZIAŁAŁ. ZAAKCEPTOWANY PRZEZ STĄDO PROFESOR NOWAK MOŻE BADAĆ ŻYCIĘ MUCH Z NIEDOŚWIADANEJ DOTYCHCZAS PERSPEKTYWY.

### KAWKA I PAPIEROSKI

Nowy serial „Kawka i Papieroski” z aktorskimi kreacjami Iwony Sitkowskiej i Jakuba Bohosiewicza co tydzień na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w aplikacji „Przekroju” na iPadzie dostępnej w App Store



# MAŁE KROKI MAŁYCH LUDZI SĄ WIELKIMI KROKAMI DLA LUDZKOŚCI

## godzina czterdzieści osiem

Józef Skrzek  
DJ Adamus  
VJ Nikon  
MC Jakob  
Jacek Królik  
Bananesq

12.04.2011, 20:00-21:48  
toruń, przed aulą umk  
ulica gagarina 11

+AK TORUŃSKA AGENDA KULTURALNA



[www.godzinaczterdzieciosiem.pl](http://www.godzinaczterdzieciosiem.pl)



Jury konkursu patrzy na wybieg. Albo przed siebie



## LADNE RZECZY

# Jak nie bywać

Jeśli najmodniejszym zjawiskiem nadchodzącego sezonu jest nuda, to impreza Oskary Fashion była absolutnie trendsetterska

OLA SALWA

Co łączy amerykańskie Oscary z Oskarami Fashion, czyli nagrodami przyznawanymi obiecującym modelkom, projektantom oraz najlepiej ubranym Polakom przez kwartalnik mody zatytułowany właśnie „Fashion”? Sztynna i nużąca ceremonia, zblazowana publiczność, konwencjonalnie wystrojone gwiazdy i przewidywalne werdykty. Jeśli tak wygląda większość „nieopowtarzalnych wydarzeń” i „wspaniałych eventów”, które zwykli śmiertelnicy mogą śledzić tylko za pośrednictwem zdjęć na Pudelku i czarnych kolumn w plotkarskich pismach, to zawód celebryty, czyli profesjonalnego gościa, powinien trafić na listę najnudniejszych zawodów świata.

Nie napiszemy więc, jak bardzo nas rajcuje to, czyjego projektu sukienkę czy garnitur mieli na sobie Doda, Małgorzata Socha, Natalia Lesz i Filip Bobek, skoro ostatnim napraw-



Młodzi projektanci, finaliści konkursu Oskary Fashion, musieli tekstylnie zinterpretować hasło: Światła Wielkiego Miasta



Jednym z obowiązków gwiazd jest pozowanie fotografom na tle makiety z logo sponsorów

de ekscytującym strojem do pracy była *shift dress* Jackie Onassis. Nie wpadniemy też w radosną manię tylko dlatego, że dobrze zarabiające gwiazdy stać na ubrania Jil Sander, Alexandra Wang, Isabel Marant, Maciej Zienia czy torebki Bottega Veneta. Ani że w ogóle staliśmy niedaleko nich (bo nie staliśmy).

Ceremonia wręczania nagród zaczęła się z prawie godzinnym opóźnieniem (może z powodu zmiany czasu na letni?), prowadzący Olivier Janiak dwoił się i troił, aby publiczność oklaskiwała nagradzane gwiazdy oraz projektantów, na których zwróciło uwagę może kilkadziesiąt z kilkuset obecnych osób. Reszta gości, tych nieprofesjonalnych, stała z dala od wybiegu, sączyła drinki i zapewniała szepcząco-chichoczące tło dźwiękowe. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale raczej nie o kolekcjach młodych projektantów ubiegających się o Oskara Fashion. Nie przyprawiały one zresztą o zawrót głowy, bo lata 80., inspiracje McQueenem, Balmain, Kanem to mniej więcej taka sama sensacja jak sobotni dziennik z czwartkowymi wiadomościami.

Po prawie dwóch godzinach przez scenę przewinęli się wszyscy najmodniejsi Polacy, a fachowe jury wybrało najlepszą projektantkę – Aleksandrę Kawałko. Można było odechnąć, przejść się kilka razy w tłumie w tę i w tę, uciec do baru z kalorycznymi drinkami, stoiskiem z paczkowanym sushi lub do taksówki, którą podróż była najzawszym elementem wieczoru.

# Pięści lokalne...

### ...czyli patriotyzm lawinowy



LUKASZ ORBITOWSKI

Możesz mnie w mordę lać – recytował aktor Garlicki, chwając przeszłość i teraźniejszość Warszawy. No i się dochwalił. Projekt Trójzab leje po głębie, lecz życzliwie i z poczuciem humoru. „Montelansino” jest odpowiedzią na „Nie masz cwaniaka...” utrzymaną w identycznym tonie, swojską i nad wyraz przyjemną, zwłaszcza dla tych, którzy za młodu obalali bełty w rejonach sopockiego molo. Tak zwana furora sieciowa to rzecz względna, ale wideoklip, nagrany z entuzjastycznym wsparciem trójmiejskiej śmietanki, jest kolejnym kamyczkiem toczącym się ze stoku: nic, tylko czekać na lawinę lokalnego patriotyzmu.

Jak wszystko, co lokalne, i takie kawałki biorą się z przestrzeni globalnej. Konkretnie – z Nowego Jorku, miasta najczęściej opiewanego. Już Frank Sinatra zrobił swoje, niedawno przyjemnie odznaczył się duet didżejski Duck Sauce numerem „Barbra Streisand”, lecz za rodziców nowoczesnego patriotyzmu miejskiego uznaję Jaya-Z z Alicią Keys. Zresztą czego innego oczekiwać od faceta, który swoją ksywkę zaczerpnął od linii metra? Przetłumaczony tekst do „Empire State of Mind” żywo przypomina teksty warszawskie i trójmiejskie: od miejsca do człowieka, brzmi „Osiem milionów opowieści”, a Jezus interesuje się koszykówką.

Nowoczesny wideoklip miejsko-patriotyczny podlega pewnym regułom, jak wszystko w kulturze popularnej. Nie ma co się złościć. Pierwszym wyróżnikiem wydaje się maksymalne wykorzystanie kolorytu lokalnego, wskazana jest tutaj jazda po bandzie bez żadnego wartościowania. W „Montelansino”, prócz szacow-

nej stoczni i melancholijnego chlupotu fal Bałtyku, mamy przecież klub nocny Rozi, czyli latarnię morską trójmiejskiej rozpuszty zdolną przetrwać sztormy wzniecane przez posejdonów cnoty. Sam tytuł nawiązuje do Monciaka (potoczna nazwa głównej ulicy spacerowej w Sopocie) oraz lansu, lecz powstała zbitka słowna budzi skojarzenia z bohaterstwem polskiego oręza, nadając wznoszeniu kielichów wymiar wzniosły. Konieczny jest również udział celebryty: w Projekcie Warszawiak był Lukasz Garlicki, który wreszcie przestał się kojarzyć z „Brzydulą”; Pomorze odpowiedziało kiwającym się Mirosławem Baką i ichniejszym prezydentem. A inne miasta już przebiegają nogami. Ponoć Kraków ma zaproponować własną wersję: drze na samą myśl, co może się zrodzić pod sauronowym okiem profesora Jacka Majchrowskiego. Hymn motorniczych tkwiących w korkach nieskończonych? Brzęk szklaneczek na Kazimierzu nocą? Radosne pohukiwanie ludzi sztuki starszych niż wszechświat? Jest jeszcze Wrocław, któremu proponuję sięgnąć po nóż skrytobójcy, Trójką Bermudzki i Marka Krajewskiego. Zupełnie inne szanse otwierają się przed Poznaniem. Metalowcy z bezbożnego Bloodthirst uzmysłowili sobie, że symbolem miasta są kozły, zwierzęta nie tylko piękne, lecz także bliskie sercu każdego wielbiciela łomotu ze względu na skojarzenia z Bafozmetem. Na oficjalnych kosztulkach kapeli widnieją więc nieszczęsne kozły – wściekle i złowrogie, jakby słuchały Slayera jeszcze w brzuchu cuchnącej siarką matuli. Pod nimi wiję się napis: „Goat City Thrash Metal”.

Wyżłosił mi się strasznie, lecz – wzorem Trójzaba – z życzliwą intencją, bo życzę sobie jak największej liczby piosenek, klipów, wierszy i czego tam jeszcze zanurzonych w lokalności. Wobec utraty ogólnopolskiego poczucia tożsamości takie cuda są co najmniej wartościowe, zwłaszcza gdy mainstream małpuje Zachód, ile wlezie. Polskie GaGi i Timberlake'i mogłyby, swoją drogą, od poznaniaków i warszawiaków solidnie oberwać po fałszywych gębach. Co proszę traktować jako zachętę.



Niepodobna mianowicie w tych dniach nie pomyśleć, że nie tyle zbliża się rocznica Katastrofy, ile nadciąga nad Polskę katastrofa rocznicy Katastrofy. Ciemność wzbiera, znaki się pokazują, komety lecą, wrony kraczą, Sienkiewiczowski krzyż ogniasty nie tyle na niebie, ile w radiu, telewizji i gazetach

29 MARCA

Dwa listy - jeden od pana T. z Wisły, drugi od Andrzeja Brüllla, syna wspomnianego niedawno w tym miejscu świętej pamięci księdza pastora Tomasza Brüllla. Pierwszy list - pan T. nie byłby sobą - wykwiłtna koperka, adres mistrzowsko zaprojektowany, litery kunsztownymi zawijasami, chyba spiralami zakręcone, nawet znaczek technicznie pocztą, ale pinakoteką; sam tekst - jak zwykle - arcydzieło rękopiśmiennictwa. Stara Polska!

Drugi list e-mailowy, ale z jakimi wiadomościami i z jakimi materiałami! Gdyby nie to, że - zawsze niestosowna - licytacja tragiczmu teraz aż furczy w powietrzu, powiedziałbym: Polska jeszcze starsza i jeszcze tragiczniejsza.

30 MARCA

„Kochany Jerzyku - pisze pan T. - pozdrawiam Cię z serca i bez ociągania piszę, co w głowie. Niepodobna mianowicie w tych dniach nie pomyśleć, że nie tyle zbliża się rocznica Katastrofy, ile nadciąga nad Polskę katastrofa rocznicy Katastrofy. Ciemność wzbiera, znaki się pokazują, komety lecą, wrony kraczą, Sienkiewiczowski krzyż ogniasty nie tyle na niebie, ile w radiu, telewizji i gazetach. Ja z takich tylko źródeł cierpię informację, całą polityczną prasę u pana Prymusa w kiosku przy moście wykupuję - on rad, bo obroty mu wzmagam; na niedostatek, jak wiesz, nie narzekam, a jakby kiedy i do tego, nie daj Bóg, doszło - też narzekać nie będę. Podobno w Internecie szczególna moc znaków, to już jednak nie moja ziemia, nawet jakbym wkroczył, i tak nie uwierzę.

Tak czy tak nadciąga tajfun rocznicy, plaga rocznicy, klęska rocznicy. Morowe powietrze przyszło już dawno (moim zresztą zdaniem zawsze tu - w mniej lub bardziej jadłowitej postaci - było) i swoje we łbach robi. Szykowanie się do pełnych powagi obchodów? Chyba do wojny, a co najmniej do bitwy! Dojść do tego, doprowadzić do tego, że lud nie na rocznicę tragedii czeka, ale na to, jakie

jaja w tę rocznicę eksplodują? O to się Polska - przez tak liczne wieki - biła?

U nas, oczywiście, takich fermentów nie ma, u nas na prowincji spokój, w całym kraju - mniej więcej - spokój, ale u Ciebie w Warszawie? Czego się człowiek dowiadyje? Jak to ma tam wyglądać? Jak to już wygląda? Ci pola dogodnie zajmują, tamci dawno już je zarezerwowali, tędy a tędy przemarsze pójdą, nie daj Boże, żeby z innymi przemarszami kolidowały? Bo co? Bo orszak na kondukt skoczy? Albo na odwrot? Widmami trumien prać się poczyna? Podobno najgorsza będzie walka o Śródmieście, niektóre gazety i stacje podają, że już się zaczęła, gdy przyjdzie co do czego, na Krakowskim Przedmieściu do wszystkiego, do absolutnie wszystkiego dojść może? Możliwe to, Jerzyku? Podobno znicze, teraz przez pacholków moskiewskich gaszone, tak zapłoną, że jedno wielkie pole ognia pójdzie! Znicze fabrycznie sześciopaliowe teraz za sprawą wyłącznie na nich skupionej opatrności całe dwa tygodnie palić się będą! I niech kto ruszy! Rączka mu fik-mik odpadnie. Jerzyku, nie zdaje Ci się to pogaństwo ciut mało chrześcijańskie?

O miejsca do modlitwy ma być walka jak o okopy? Prawda to? Cień prawdy? W radiu słyszałem, że jest propozycja nie minuty, nie godziny, ale 24 godzin ciszy, przy czym syreny cały czas wycią mają. Jak to zniesiesz, Jerzyku? Swoją drogą po coś ty się, biedaku, do tego wilczego miasta przenosił? Ach, wiem, wiem, u nas tyle samo demonów na metr kwadratu co tam i co wszędzie... Wszakże jednak w takich chwilach tu chyba raźniej. Może ruszysz? W końcu i takie wieści dochodzą, że niektórzy okna deskami zabijają, dobytek parkują i ewakuują się przynajmniej na czas apokaliptyczno-żałobnego weekendu. Zbieraj się i ruszaj!”

31 MARCA

Oczywiście odpiszę panu T., uspokoję go i racjonalnymi argumentami postaram się ukoić jego emocje, zwrócę mu uwagę, że

nawet w tak pilnie przezeń czytanych gazetach rozmaite głosy się rozlegają. Owszem, jest, jak jest - racji wiele, ale spokój, rozszadek, powaga zwyciężą przecież! Wystarczająca jest ilość - niechybnie pan T. skarcił mnie za ten frazes - mądrych i rozsądnych ludzi w ojczyźnie i oni wygrają! Ton czerni, owszem, może być słyszalny, ale nie wygrał. W każdym razie nie histeryzujemy i, zwłaszcza, nie pławmy się w trochę i przez nas samych wykreowanej rzekomej naszej troglodycznej dzikości.

Skądinąd cokolwiek doń napiszę - napiszę w pewnym sensie całkowicie na darmo. Pan T. w błotnych imponderabiliach pławie się uwielbia! Z fanatyczną pasją szuka wszelkich narodowych bajor i nurkuje z lubością! A jeśli nie znajdzie, to wymyśla i dopiero nurkuje!

Pana T. ponosi! I to jak ponosi! Powiedzieć o nim - jak ostatnio w Warszawie się mówi - że ma krótki lont, to nic nie powiedzieć. W życiu - człowiek eksplozja, gdy pisze jako autor - szalał. Upajają go własne wizje, upaja go ich straszliwość, własna zawiła fraza i charakter pisma. Mnie w każdym razie upaja. Ścisłe mówiąc, zawiść mnie upaja, chyba upadła. Strzeż się, krwawa i bezsilna zawiść.

Pan T.! - dajcie spokój, dziewięćdziesiątka nie tyle na karku, ile dobrze za karkiem. Żaden, zaznaczam na wszelki wypadek, literacki „wieczny starzec”. Postać powszechnie znana, o znanym życiorysie, słynny drewniany dom zaraz za piaskarnią w Parteczniku.

Oczywiście kwękanie, oczywiście to i owodolega, oczywiście bóle, skurcze, leki. Płecy zgarbione, nogi umiarkowanie sprężyste. Niech to nie zabrzmi niezręcznie czy komercyjnie, ale zrozumcie: opisuję go w pewnego rodzaju furii, właściwie zawsze wspominałem o nim z „pewnego rodzaju furia”. Pragnę bowiem powiedzieć, że owszem, liczne dolegliwości pana T. trapią, całej masy sprawności dziadyga jeden - z oczywistych racji - nie ma, ale ma jedno: niewzruszoną rękę. I tą stabilną dłońią swoim chyba w latach 60. nabytym watermanem listy, wywody, zawijas, historie, skargi et cetera, et cetera pisze. Na papierze kiedyś marnym, dziś z racji muzealności szlachetnym - kancelaryjnym mianowicie. W linie. Pojmujecie, bo nic tu nie do pojęcia nie ma. Czytam listy pana T., gapię się na moje trzy, a może nawet cztery rozsychające się, czarno-zielone pelikany i moje serce czarna jak żałoba narodowa krew zalewa.

# Portret hrabiego

Kto robi zdjęcie: człowiek czy aparat? Trudna droga fotografii na artystyczne salony wiodła również przez sale sądowe

KUSA DĄBROWSKI

aryż, lata 50. XIX wieku. Bracia Léopold Ernest i Louis Frederic Mayer prowadzą wysmienicie prosperujące studio dagerotypiczne. Specjalizują się w portretowaniu polityków, są oficjalnymi fotografami dworu cesarza Napoleona III. Pojawia się jednak konkurencja, klientów zaczyna im podbierać Pierre-Louis Pierson, portrecista mający w ofercie absolutną nowość - dagerotypy ręcznie kolorowane. Bracia zamiast iść na wojnę, namawiają Piersona do połączenia sił i założenia spółki. Pod wspólną marką Mayer et Pierson sprzedają *carte de visite* z podobiznami sławnych osób, głównie postaci z cesarskiego dworu i okolic. Paryżanie kupują je, tak jak dzisiaj się kupuje kolorowe magazyny o życiu gwiazd. Interes się kręci.

Pod koniec roku 1861 roku wypuszczają na rynek kartę z portretem włoskiego hrabiego Camilla di Cavoura. Cała Francja żyje romansem Napoleona z księżną Castiglione (również fotografowaną przez spółkę). Niektórzy się w niej kochają, inni uważają ją za włoskiego szpiega, dla jeszcze innych te postawy się nie wykluczają. Cavour jest kuzynem księżnej i jego podobizna jako jednej z postaci dworskiego dramatu okazuje się rynkowym przebojem. Fotograficzna konkurencja nie śpi, już po kilku tygodniach w witrynach zakładów pojawiają się inne portrety włoskiego arystokraty firmowane przez studia Betbéder i Schwalbé. Pierson i Mayerowie orientują się, że konkurencja na swoich kartach wykorzystuje zdjęcie zrobione przez nich. Książę nie pozował nikomu innemu, Schwalbé i Betbéder zmienili trochę kadr, dopasowali arystokracji inne nogi, w tle wstawili



biblioteczkę, ale twarz i górne partie ciała pozostały takie same.

Spółka wytacza proces. Rzecz okazuje się bardzo skomplikowana, ustawa o prawie autorskim pochodzi jeszcze z czasów wielkiej rewolucji. Nie ma w niej paragrafów dotyczących fotografii, wszystko zależy od interpretacji sędziów. Sąd pierwszej instancji orzeka brak winy pozwanym. „Fotografia nie jest sztuką, tylko mechaniczną rejestracją, zdjęcie »robi się samo« i w związku z tym nie można aplikować do niego praw autorskich” - tłumaczy swój wyrok sędziowie.

Pierson i Mayerowie jednak nie poddają się, po kilku miesiącach sprawa trafia najwyższej

jak może, czyli do Sądu Kasacyjnego. Rozpętuje się prawnicza batalia. Betbéder i Schwalbé zbierają opinie najśłynniejszych francuskich profesorów, którzy twierdzą, że fotografia jest jedynie jarmarcznyą rozrywką i z prawdziwą sztuką nie ma nic wspólnego. Prawnicy spółki opisują natomiast związki pomiędzy malarstwem i dagerotypicznym portretem, opowiadają o walorach kompozycyjnych i światłocieniu. Nakładanie emulsji poetycko porównują do pracy pędzlem. 21 listopada 1862 roku sąd przyznaje rację Piersonowi i Mayerom, fotografia (z prawnego punktu widzenia) zostaje oficjalnie uznana za sztukę. Schwalbé i Betbéder muszą zapłacić odszkodowanie. ●



6 x więcej

# NAJLEPSZE STRONY SUKCESU w nowej, niższej cenie

Magazyn „Sukces” możesz kupić w kioskach, salonach prasowych, na Przekroj.pl oraz w App Store (aplikacja „Przekroj”)

Zobacz więcej: Przekroj.pl i App Store



MŁODZI ZDOLNI przyszłość polskiego kina



WOODY ALLEN twarz z kamienia

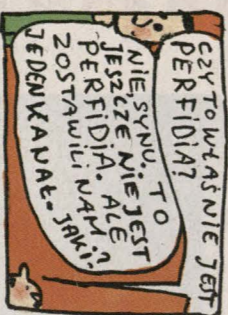
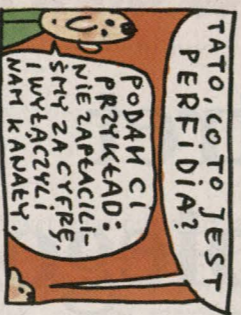


MILIONY DYKTATORÓW sukces w czasie rewolucji



ZNOWO W OZROKACH I TOSCI

## RACZKOWSKI NA KONIEC



**RETROSPEKCJA**  
Dźwigając kłogranany starych roczników „Przekroju”, rozwijamy mięśnie i poczucie humoru szanownego Czytelnika

**CZY NIE LEPIEJ? NAJCHEŃNIEJ**  
Ogłoszenie z nr 7 „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”. Pan w fedrim wbił interaktywne, a nie literackie, teatrem i plastyką poszukiwało pań w wieku do 40 lat. (Zdjęcie cyfrowe obywateli), a nie w tradycyjny sposób. W „Obstanie” bilet do teatru i obrasek na kłomaru w „Przekroju”. (Nadesłała: M. Z.)

**SWOJA SUKNIA**  
Zdjęcie z podpięciem z nr 49 „Zwierzchni”: Suknia domowa, dla swoich i do gości. Czy aby ta gościnność nie jest (Nadesłała: Z. Zwińtański)

## NIE TAK: JANEK KOZA



„PRZEKROJ” z 30 CZERWCA 1968 ROKU

Owszem, jestem tak samo magdry jak mój pan. Ale to jeszcze nie dowód inteligencji. (Paflo)

„PRZEKROJ” z 5 SIERNIA 1962 ROKU

**SPRZEDAŻ WIĄZANA?**  
Ogłoszenie z numeru 132 „Nowin Rzeszowskich”: „SPRZEDAM dom murowany 6 ubikacji (z wolnej). A pozostających 4 nie da się odblokować” (Nadesłała: Fryzje-tyz z Rozwadowska)

„PRZEKROJ” z 27 STYCZANIA 1957 ROKU

**IPADY**  
Archiwalne numery „Przekroju” można przeczytać na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w aplikacji „Przekroj” na iPadzie dostępne w App Store



**KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA**

**Jestem Bogiem**  
(trailer, polish version)

Mrok. Ciemny kontur postaci na tle światła punktowego reflektora.

głos z ortu:  
– Wyobraź sobie pigulkę, która sprawi, że nablitzesz miary we własne możliwości (paauza, zblizenie).  
Wyobraź sobie tabletkę, która pozwoli ci pokonać wszelkie ograniczenia (paauza, zblizenie). Wyobraź sobie pastylkę, która pomoże ci osiągnąć sukces, uczyni cię byskotliwym, elokwentnym, podążającym, przystojnym i trwale pozdawanym wszelkich kompleksów... (paauza, nagłe rozjaśnienie). Wyobraź sobie, że... jesteś Bogiem!

Zblizenie. Jarosław Kuźniał uśmiecha się promiennie. Cennik. Adres strony internetowej. Dawkowanie. KURTUNA

**MYSŁNIK KRYSZTOFA BILICY**  
Drogą domką można jeszcze wrócić.

**ROMAN KURKIEWICZ**  
**Czarne wdowy naszych mgieł**  
Rok minął, mgła się rozprzeczła, przedsiębiorstwo Smoleńsk bije rekordy produkcji. Absurd zakwita niepowsztymanie

**LEWO MYSŁNIE**



omnika nie ma, raportu nie ma, wniosków nie ma, rozmowy nie ma, zaboby nie ma, postępu nie ma, niczego nie ma. Katastrofa smoleńska jest dla niektórych gorącym kartoflem, dla innych odgrzewanym kotletem, dla jeszcze kogoś przebojem kulinarnym.

Dla Jarosława Kaczyńskiego jest paliwem napędzającym jego hold polityczny, paliwem, którego zabrakło podczas kampanii prezydenckiej sprzed roku. Teraz tego paliwa już nie zabraknie. Wiem to, bo nie mogę się opędzić od wywodów najsylniejszego niebledronkowego zakupowca 2011 roku w każdym niemal medium, na łamach gazet oraz falach eterycznych i audiolowizualnych.

Zmęczenie smoleńskimi mgłami rozpościera się zresztą niemal tak intensywnie jak ona sama onegdaj. Ci wyjeżdżają z miast, ci zostają, ci nadciągają, ci się szczykują. Świat znika, zagrancica nie istnieje, wszystkie wozy transmisyjne na Smoleńsk.

Smoleńska epopeja pokazuje jeszcze jedno zjawisko radykalnie dotkliwe – władzę władzy nad mediami. Zarówno tej władzy aktualnej, jak i tej opozycyjnej. Mam wrażenie, że to władza dzisiaj zarządza tym, kiedy i w jakiej formie zechce się wypowiedzieć. Rządzi więc i przestrzeni, czasem nawet treści, i personami (z tą panią nie rozmawiamy, w tym programie nie komentujemy, dla tego pana nie mamy czasu). Politycy w Polsce są opiekani przez państwo, które w żadnej mierze nie rozlicza ich z tak zwanej służebności. Filozofia była służką teologii w średniowieczu. Dzisiaj media, jeśli w ogóle jeszcze istnieją, są służkami polityków, ich dobrej i złej woli, ich projektów, doradców, konceptów i kalendarzy przedwyborczych. I dlatego ja zrobiłem sobie z tego dnia dzień bez całej tej historii. Posiżyłem sam sobie. W milczeniu i na rowerze. I z książką nie o tym srawku ziemi, i z filmem z innymi bohaterami i bohaterkami. Sam będę decydował, kiedy jest to kwietnia. Jesli jest.

SPRING  
SUMMER  
2011



vistula.pl

VISTULA  
the men's world